

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 46 (1201) 13 LISTOPADA 1983 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

Wzrost Królestwa Bożego ● Odbudowa niepodległego Państwa – w 65 rocznicę ● Z życia Kościoła ● Aktualności polonijne ● Moralny heroizm bohaterów powieści Conrada ● „Rodzina” – dzieciom ● Porady



Chrystus Frasobliwy – rzeźba ludowa w drewnie

DWUDZIESTA PIĄTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

(Szósta po Objawieniu)

Czytanie z I Listu św. Pawła Apostoła do Tesaloniczan (1,2-10)

Bracia: Dzięki składamy Bogu zawsze za was wszystkich wspominając was nieustannie w modlitwach naszych i pamiętając przed Bogiem i Ojcem naszym o dziele waszej wiary i wysiłku miłości, i wytrwaniu w nadziei Pana naszego Jezusa Chrystusa. A wiemy też umiłowani przez Boga bracia, i o wybraniu waszym, bo głosiliśmy wam Ewangelię nie tylko słowem, ale też z mocą i z Duchem Świętym i z wielką pełnością. A sami to wiecie, jakimi byliśmy dla was, przebywając wśród was. Wy też staliście się naśladowcami naszymi i Pańskimi przyjąwszy naukę w wielkim ucisku z weśsem Ducha Świętego, tak że staliście się wzorem dla wszystkich wiernych w Macedonii i w Achai. Od was bowiem rozniosło się słowo Pańskie nie tylko po Macedonii i po Achai, ale wiara wasza w Boga dotarła wszędzie, tak że nam mówić o tym nie trzeba. Bo sami oni głoszą o nas, jakiegośmy doznali u was przyjęcia i jakeście się nawrócili do Boga od bałwanów, abyście służyli Bogu żywemu i prawdziwemu i oczekiwali Syna Jego z niebios (którego wzbudził z martwych) Jezus, który nas wybawił od mającego nadejść gniewu.

Ewangelia według św. Mateusza (13,31-35)

Onego czasu: Powiedział Jezus rzeszom tę przypowieść: Podobne jest królestwo niebieskie ziarnu gorczycznemu, które wzięwszy człowiek, posiał na roli swojej. Acz najmniejsze ze wszystkiego nasienia, gdy jednak wzrośnie, jest większe od wszystkich krzewów. Staje się drzewem, tak że ptaki niebieskie nadlatują i mieszkają w gałęziach jego. Inną przypowieść powiedział im: Podobne jest Królestwo niebieskie do kwasu, który wzięwszy skryła niewiasta w trzy miary mąki, aż zakwasiło się wszystko. To wszystko mówił Jezus do rzesz w przypowieściach, a bez przypowieści nie mówił do nich. Aby się wypełniło, co jest powiedziane przez proroka mówiącego: Otworzę usta moje w przypowieściach. Wypowiadać będę rzeczy skryte od założenia świata.

WZROST KRÓLESTWA BOŻEGO

Coraz bardziej zbliża się koniec roku liturgicznego, który — stosownie do intencji Kościoła — ma być przypomnieniem tego, co nastąpi przy skończeniu wieków. Zanim jednak to nastąpi, królestwo Boże na ziemi rozrasta się i dojrzewa poprzez stulecia i pokolenia, by „czasu żniwa” przynieść plon stokrotny. Kościół Chrystusowy staje się zewnętrznie coraz bardziej podobny do potężnego drzewa, na którego gałęziach mieszkają wszystkie narody. Wewnętrznie zaś, niczym kwas chlebowy przenika do ludzkich dusz, czyniąc je godnymi królestwa niebieskiego.

Te właśnie myśli znajdujemy w dzisiejszych czytaniach mszalnych. Bowiem ewangelia — przytaczająca przypowieści o ziarnku gorczycznym oraz o kwasie chlebowym (Mt 13,31-35) — w sposób niezwykle obrazowy przedstawia wzrost Kościoła powszechnego. Natomiast lekcja (1 Tes 1,2-20) wspomina wyznawców Chrystusa w Tesalonikach w budowie królestwa Bożego na ziemi.

W rozważaniu niniejszym przyjrzymy się wymienionym wyżej przypowieściom oraz wyciągniemy z nich wnioski dla codziennego, w pełni zaangażowanego życia chrześcijańskiego.

*
* * *

Przypowieści o ziarnku gorczycznym i kwasie chlebowym są dalszym ciągiem Jezusowego „kazania na jeziorze”. Daje w nich Zbawiciel odpowiedź na pytanie, jaki będzie koniec zapoczątkowanego przezeń dzieła. W oparciu o przykłady z życia codziennego utwierdza on swoich uczniów w przekonaniu, że głoszona przez niego „Dobra Nowina” będzie podlegała prawom regularnego rozwoju, będzie się szerzyła i rozwijała w duszach ludzkich. A chociaż początki są tak skromne a trudności wewnętrzne i zewnętrzne tak wielkie, zapoczątkowane przez Niego dzieło cel swój osiągnie. Nie doprowadzą do tego żadne kataklizmy, oczekiwane w tym względzie przez słuchaczy boskiego Nauczyciela. Bowiem królestwo

Boże na ziemi powstanie bez pomocy czynników zewnętrznych, bez światowego splendoru i rozgłosu. Rozwinie się jedynie pod wpływem zesłanej od Boga siły wewnętrznej.

Kontynuując swoje wystąpienie z kołyszącej się na wodzie „am-bony”, powiedział Chrystus: „Podobne jest Królestwo Niebios do ziarenka gorczycznego, które wzięwszy człowiek, zasiał na roli swojej” (Mt 13,31). Gorczyca była i jest obecnie w Palestynie dość pospolitą rośliną. Uprawiana bywa również i u nas, służąc do wyrobu cennego olejku spożywczego oraz znanej przyprawy do potraw, musztardy. Używa się jej też jako środka leczniczego (plaster gorczyczny). Przedstawiając dalej rozpoczęty temat, Syn Boży mówił „Jest ono, co prawda, najmniejsze ze wszystkich nasion, ale gdy urośnie, jest największe ze wszystkich jarzyn, i staje się drzewem, tak iż przylatują ptaki niebieskie gnieźdzą się w gałęziach jego” (Mt 13,32). Małeńkość nasienia tej rośliny stała się u Żydów przysłowiowa. Toteż dziś jeszcze — na oznaczenie rzeczy trudno dostrzegalnych — używa się określenia: Małeńkie jak ziarnko gorczycy”. Jednak w ciepłym klimacie ta jednoroczna roślina wyrasta w krzew 3—4 metrów wysoki, wypuszcza wielkie gałęzie i staje się niemal drzewem. Toteż całymi stadami przylatują ptaki i siadają na jej gałęziach, wydziobują małe, czarne ziarenka z dojrzałych strąków. Takim ogiałał Prorok przyszłe królestwo Boże, gdy pisał: „W jego gałęziach gnieździły się wszelkie ptaki niebieskie, a pod jego konarami miały swe młode wszelkie zwierzęta polne; w cieniu jego mieszkaly gromady licznych ludów” (Ez 31,6). Ta nieproporcjonalność pomiędzy małym ziarnem a wysoką stosunkowo rośliną, staje się dla Jezusa okazją do wykazania dysproporcji, jaka istnieje między początkami królestwa Bożego, a przyszłym jego zdumiewającym wzrostem.

Mówiąc o rozwoju królestwa Bożego, chciał także Chrystus poruczyć swych apostołów o wewnętrznej sile i skuteczności tej instytucji. Dlatego — nauczając w dalszym ciągu z łodzi — powiedział „Podobne jest Królestwo Niebios do kwasu, który wzięta niewiasta i rozczyniła w trzech miarach mąki, aż się wszystko zakwasiło” (Mt 13,33). Niewiasta ewangeliczna przygotowując zaczyn chlebowy, umieściła w nim kwas pozostawiony z poprzedniego wypieku. Otworzywszy zaś dzieże nazajutrz rano spostrzegła, że w ciągu jednej nocy odrobina fermentu nie tylko zakwasiła ciasto, ale powiększyła jego objętość i przetworzyła, czyniąc zeń odpowiedni surowiec do wypieku chleba. Warto tutaj przypomnieć, że kwas chlebowy był w użyciu u Żydów od bardzo dawna, już przy wyjściu z Egiptu — jest o nim mowa (por. Wj 12,15). Podobnie jak Żydzi przygotowywali zaczyn chlebowy Rzymianie. Natomiast starożytni Grecy używali zamiast drożdży pszenicy zakwaszonej winem. Dodać jeszcze należy, że do mierzenia ciął sypkich produktów się Izraelici „miarą” (aramajskie „sata”, łacińskie „satum”). A ponieważ Żydzi piekli chleb codziennie, gdyż był on podstawowym ich pożywieniem, do jednego wypieku używano trzy miary mąki.

Również i tutaj podkreślona jest historyczna dysproporcja między początkową fazą istnienia królestwa Bożego na ziemi, którego symbolem jest kwas chlebowy, a pełnym jego rozwojem, przedstawionym w postaci wielkiej masy sfermentowanego ciasta. Tym samym wskazuje Zbawiciel na wewnętrzną, duchową siłę tego królestwa. Rośnie ono nie dzięki sile oręża, wpływowi środków ekonomicznych, czy też oddziaływania politycznego, ale przez wpływ na umysły i serca ludzkie, przez działanie Bożego zaczynu.

Perykopę kończy Ewangelista uwagą: „To wszystko mówił Jezus w podobieństwach, a bez podobieństw nic do nich nie mówił” (Mt 13,34). Tak było przynajmniej w tym okresie działalności, gdyż kiedy indziej mówił otwarcie, bez osłony przypowieści. Następnie — jakby na dowód, że tak być musiało — dodaje: „Aby się wypełniło, co powiedziano przez proroka, gdy mówił: Otworzę w podobieństwach usta moje, wypowiem rzeczy ukryte od założenia świata” (Mt 13,35). Nawiązuje w ten sposób Mateusz do objawienia Starożytności, gdzie czytamy: „Do przypowieści otworzę usta moje, opowiem zagadkowe dzieje starodawne” (Ps 78,2). W tym wypadku słowa Ewangelisty mają wartość spełnionej zapowiedzi proroczej. „Rzeczy ukryte”, o których była mowa, to tajemnice dotyczące królestwa Bożego, objawione przez Zbawiciela.

Wspaniały rozwój Kościoła pierwszych wieków, nie dokonał się bez wielkiego zaangażowania ze strony wyznawców Chrystusa. Przykładem — jednym z wielu — może być w tym względzie gmina w Tesalonikach, o której Apostoł pisze: „Wy staliście się naśladowcami naszymi i Pana i przyjęliście Słowo w wielkim ucieszeniu, z radością Ducha Świętego, tak iż staliście się wzorem dla wszystkich wierzących w Macedonii i w Achai. Od was bowiem rozszło się Słowo Pańskie nie tylko w Macedonii i w Achai, ale wiara też wasza w Boga rozkrzewiła się w każdym miejscu” (1 Tes 1,6-10).

Jako wyznawcy Chrystusa — przygotowani przez sakrament bierzmowania — mamy obowiązek dawać na co dzień świadectwo o naszej przynależności do jego Kościoła, Kościoła Polskokatolickiego. Przez wiarę naszą oraz przykład życia chrześcijańskiego mamy budować królestwo Boże. Również przyszłość naszego Kościoła w dużej mierze od nas zależy. A więc, na ile tylko nas stać, angażujemy się w rozwój i umocnienie całego naszego Kościoła, diecezji, do której należymy oraz naszej parafii. Niech nam sumienie odpowie, co w tym względzie możemy jeszcze zrobić. A jest do zrobienia dużo. Bardzo dużo.

Ks. JAN KUCZEK

Odbudowa

niepodległego

Państwa

— w 65 rocznicę

Upadek Rzeczypospolitej w drugiej połowie XVIII w. nastąpił w momencie, gdy po długim okresie marazmu naród pod wpływem hasła Oświecenia przystępował do naprawy ustroju państwowego, przebudowy struktury społecznej i gospodarczej. Reformy, których punktem kulminacyjnym było uchwalenie Konstytucji 3 Maja, przyszły zbyt późno. W pewnym sensie nawet przyspieszyły upadek. Trzy mocarstwa rozbiorowe skłonne były tolerować bezbronne, zacofane państwo, o formie rządów umożliwiających swobodną ingerencję w jego sprawy wewnętrzne. Likwidowały państwo jeszcze słabe, ale budzące się do życia, próbujące samodzielnej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Dla Polski, która faktycznie już w początkach XVIII w. przestaje być podmiotem w polityce europejskiej, nie ma miejsca u schyłku wieku. Odmienne niż opinia publiczna, rządy państw europejskich reagują na rozbiory obojętnie. Taka sytuacja trwać będzie niemal przez cały wiek XIX, zwłaszcza po Kongresie Wiedeńskim, kończącym epokę wojen napoleońskich i ustalającym na blisko 100 lat porządek europejski, oparty o zasadę równowagi między mocarstwami.

Dla odradzającego się społeczeństwa polskiego likwidacja państwa była wstrząsem, ale oceniona została nie jako rezultat narodowych przywar czy niezdolności do samodzielnego bytu, lecz jako akt wrogiej przemocy. Odtąd główną treścią dziejów narodu w niewoli stanie się walka o odbudowę własnej państwowości. Towarzyszyć jej będzie postępująca przebudowa społeczeństwa, wywodzącego się z ducha idei Oświecenia i kościuszkowskich hasła wolności, całości i niepodległości, uzupełnianych hasłami liberalizmu, demokracji, wreszcie socjalizmu. Do udziału w życiu publicznym dołączać będą coraz szersze kręgi społeczeństwa, w miarę jak walka o wyzwolenie narodowe łączy się będzie z hasłami społecznymi, i coraz szersze kręgi Polaków dostrzegą będą w zaborcach także gwarantów dawnego ładu społecznego.

Dążeniom niepodległościowym przeciwdziałały trzy mocarstwa zaborcze: Rosja, Prusy i Austria. Ich potęga i układ sił międzynarodowych wydawał się tak stabilny, że nie tylko wielu życzliwych sprawie polskiej cudzoziemców, ale także Polaków, nie widziało szans zmiany położenia. Tę część społeczeństwa charakteryzowały postawy bierności lub ograniczające się do realizacji pozytywistycznych hasła pracy organicznej, a także pokojowych, lojalistycznych zabiegów u rządów zaborczych o poprawę położenia. Przeciwnictwem tego nurtu były postawy romantyczne, buntownicze, odrzucające wszelki kompromis i szukające w walce zbrojnej możliwości realizacji aspiracji na-

rodowych. Oba antagonistyczne nurty istniały w Polsce w ciągu całego okresu niewoli, złączając się wzajemnie, oskarżając albo o zdradę interesów narodowych i służalczość, albo o szaleńcze mrzonki prowadzące do biologicznego wyniszczania narodu i niszczenia otrzymanych od państw zaborczych koncesji.

Gwałtowny charakter polemik z przeszłości nie powinien wszakże przesłonić faktu, że obie tak przeciwstawne tendencje uzupełniały się i zastępowały. Pierwsza sprzyjała rozwojowi gospodarczemu i kulturalnemu, druga, pobudzając społeczeństwo do walki zbrojnej, wskazywała cel ostateczny, do którego naród winien dążyć. Tak było w czasie insurekcji kościuszkowskiej 1794, walk Polaków w wojnach napoleońskich od legionów poczynając, w powstaniu listopadowym 1830/31, w tragicznych wydarzeniach powstania galicyjskiego 1846, w powstaniu poznańskim 1848, styczniowym 1863/64 i wreszcie rewolucji 1905/1907, w której najpełniej obok hasła narodowych wystąpiły społeczne.

Zadne z wystąpień zbrojnych nie przyniosło doraźnych, natychmiastowych skutków. Przeciwnie, upadek powstania ścigał falę represji i najczęściej oznaczał kolejny etap likwidacji swobód narodowych. Z drugiej strony powodowały one, że sprawa polska na arenie międzynarodowej odżywała co pewien czas, zwłaszcza gdy rządy europejskie próbowały zepchnąć ją na margines swej polityki. Dla społeczeństwa polskiego kolejne klęski powstań oznaczały bezmiar nieszczęść i cierpień. Ale represje państw zaborczych, uderzające ślepo, zaostriżyły antagonizm narodowy, uniemożliwiając wszelkie próby integracji ziem polskich z państwami zaborczymi, a także asymilacji ludności polskiej mimo wszelkich brutalnych prób wynaradawiania. Wysiłki niepodległościowe były jednak skazane na niepowodzenie dopóki w sprawie polskiej istniało ściśle współdziałanie między zaborcami. Można nawet powiedzieć, że powstania polskie sprzyjały umocnieniu sojuszu trzech cesarzy.

U schyłku XIX w. antagonizmy między mocarstwami doprowadziły do powstania dwóch wrogich obozów: w jednym obok Francji i Anglii znalazła się Rosja (Ententa), w drugim — Niemcy i Austro-Węgry (Państwa Centralne). System układów wojskowych stworzył sytuację, w której drobny nawet, lokalny konflikt mógł przekształcić się w wojnę powszechną. Tak stało się po zabójstwie w Sarajewie austriackiego następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

W wojnie 1914—1918 starły się ze sobą zbrojnie trzy mocarstwa rozbiorowe. Miała to być wojna długotrwała i wyniszczająca, prowadząca do wszechstronnego wyczerpania państw zaborczych. Walka z tak osłabionymi i do tego skłóconymi przeciwnikami stwarzała po raz pierwszy realne szanse na sukces, tym bardziej, że wojna musiała w ogromnej części toczyć się na terytorium zamieszkałym przez Polaków. Ta sytuacja zmusiła wszystkie trzy walczące mocarstwa do ogłoszenia deklaracji w sprawie polskiej. W deklaracjach powoływano się na wspólne tradycje walki z przeciwnikiem: Rosja przypominała Grunwald i prześladowania niemieckie w zaborze pruskim, Niemcy i Austro-Węgry — Wiedeń i represje rosyjskie po powstaniach listopadowym i styczniowym. Poza tym obietnice były mało konkretne i zapewne intencją ich nie było dotrzymanie. Pozytywnym aspektem było już jednak samo proklamowanie potrzeby odrodzenia narodowego, odbudowy państwowości itp.

Wybuch wojny i gesty zaborców rozbudziły aktywność i nadzieje społeczeństwa, choć oficjalnie proklamacje przyjmowano nieufnie po większej części dominowały postawy wyczekujące. Z upływem czasu rosły i nadzieje, i aktywność, by u schyłku wojny przybrać formę masowego ruchu wyzwolenczego. Społeczeństwo polskie, aczkolwiek zgodne w swej masie co do potrzeby odbudowy państwa, podążało do celu różnymi drogami, w zależności od orientacji politycznej, przez co należy rozumieć powiązanie programu niepodległościowego z polityką tego lub innego mocarstwa. Orientacja austriacka jest tu zja-

wiskiem najbardziej zrozumiałym z psychologicznego punktu widzenia: w Galicji były stosunkowo najlepsze warunki rozwoju kulturalnego, a możliwości przebudowy dualistycznej monarchii habsburskiej w trójstronną, obejmującą obok Austro-Węgier, trzeci, polski element — najbardziej prawdopodobne. Rychło jednak okazało się, że ani Wiedeń, ani tym bardziej Berlin nie są zainteresowane takim rozwiązaniem, mimo że z punktu widzenia polskich interesów był to program nader skromny. Oczywiście w rachubach tych brano pod uwagę nie tylko ziemie Galicji, ale także zdobyte na Rosji dawne Królestwo Polskie. Klęski Austrii i jej niewielkie wpływy na arenie międzynarodowej wkrótce pogrzebały nadzieje aktywistów krakowskich, skupionych wokół Naczelnego Komitetu Narodowego i Koła Polskiego w parlamencie wiedeńskim.

Orientacja rosyjska, skupiona wokół Narodowej Demokracji i Romana Dmowskiego, mogła powoływać się na manifest głównodowodzącego armii rosyjskiej, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Był on jednak nader ogólny, a rząd carski nie podejmował żadnych konkretnych zobowiązań. Kalkulacje Dmowskiego opierały się wszakże na przekonaniu, że Rosja po zwycięstwie nad Niemcami zjednoczy ziemie polskie pod berłem carów. Wówczas element narodowy polski będzie tak silny, że wszelka działalność rusyfikacyjna stanie się niemożliwa. Stąd już prosta droga do autonomii i szerszej emancypacji. Rachuby na zwycięstwo Rosji okazały się mylne. W 1915 r. wojska carskie opuściły Królestwo Polskie, by nigdy do niego nie powrócić. Deklaracja Mikołaja II o zamiarze utworzenia Polski zjednoczonej i niepodległej pod panowaniem carów rosyjskich ogłoszona w 1916 r. w rozkazie do armii i floty była już pozbawiona realnych podstaw. Sam car w poufnej rozmowie dał wyraz wątpliwościom, czy Rosji uda się zdobyć na Niemcach jakiegokolwiek terytorium.

Orientacja proniemiecka pojawiła się z opóźnieniem, i to nie na terenie zaboru pruskiego, a w Kongresówce. Pojawienie się jej było konsekwencją fiaska orientacji austriackiej. Realnym celem mogło być państewko obejmujące dawny obszar Królestwa Polskiego z 1815 r., poszerzone ewentualnie o tereny wschodnie z Grodnem i Wilnem. Naprzeciw tej orientacji wychodził tzw. Akt 5 listopada, ogłoszony w 1916 r., jako manifest dwóch cesarzy. Zapowiadał utworzenie państwa polskiego nie precyzując wszakże ani granic, ani formy rządu, ani czasu w jakim to państwo miało powstać, ani wreszcie stosunku zależności od Niemiec i Austro-Węgier. Jedynym celem rządu niemieckiego było zachęcenie obywateli polskich do wstąpienia do armii niemieckiej. Dla sprawy polskiej realną korzyścią było postawienie jej na forum międzynarodowym. Przegrana Niemiec przyniosła fiasko także i tej orientacji.

Odrębnego omówienia wymaga działalność Józefa Piłsudskiego. Na początku nie zyskał uznania społeczeństwa. Do legionów niechętnie odnosiła się ta część społeczeństwa, która wiązała nadzieje niepodległościowe z Rosją. Podobnie zareagowało społeczeństwo w Poznaniu, a także te grupy w Galicji, które związane były z Narodową Demokracją. Gdy 6 sierpnia 1914 r. legioniści — tzw. pierwsza kadrowa — przekroczyli granicę rosyjską, licząc na wybuch antyrosyjskiego powstania narodowego, nie tylko nie zrealizowali zamierzonego celu, ale poza nielicznymi wyjątkami spotkali się z postawą nieufną lub wręcz wrogą. Rozczarowanie i gorzyc żołnierzy legionów znalazło wówczas wyraz w pieśni „My, pierwsza brygada”. Ale polskie symbole wojskowe i dawne miano legionów rychło zaczęły działać na wyobraźnię, zwłaszcza młodzież, coraz liczniej spleśniając pod komendą Piłsudskiego. Oddziały sformowane zostały z dawnych Drużyn Strzeleckich i Związków Strzeleckich istniejących legalnie w Galicji przed wybuchem wojny, a na ich dzieje składają się nieustanne konflikty z wojskowymi władzami

dokończenie na str. 8—9

Z życia Kościoła

Uroczystość patronalna

w

Jastkowicach



Ks. Infułat Józef Sobala

7 sierpnia br. parafia Jastkowice obchodziła doroczną patronalną uroczystość Przemienienia Pańskiego. Z tej okazji do Jastkowic przybyło wielu kapłanów z wiernymi swoich parafii. Przed rozpoczęciem Mszy Świętej kapłani w konfesonach słuchali spowiedzi.

Ksiądz Infułat Józef SOBALA — miejscowy proboszcz, serdecznie powitał kapłanów i przybyłych z dalekich stron wiernych, podziękował im za ten trud oraz za ofiarność i pracę na rzecz Kościoła Polskokatolickiego.

Uroczystą Sumę z wystawieniem Najświętszego Sakramentu celebrował ks. mgr Kazimierz STACHNIAK — proboszcz z Dąbrówki. Kazanie o Przemienieniu Pańskim wygłosił ks. Jerzy UCHMAN — proboszcz z Jaćmierza. Podczas Mszy Św. śpiewał chór parafialny. Młodzież i starsi bardzo licznie przystąpili do Komunii Św.

Na koniec chciałbym zaznaczyć, że miłą i godną pochwałą jest tradycja przybywania na uroczystości patronalne wiernych z okolicznych parafii naszego Kościoła. Parafianie z Jastkowic podtrzymują i pielęgnują tę tradycję i bardzo często autobusem wraz ze swym Księdzem Proboszczem udają się do parafii sąsiedzkich. Ostatnio byliśmy w Długim Kącie na uroczystości patronalnej Św. Anny.

Ks. J.S.



Rozmyślanie

Chciałbym wznieść się bardzo wysoko

„Niech będzie błogosławiony Bóg, Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z wysokości niebios obsypał nas wszelkim błogosławieństwem duchowym w Chrystusie. W nim wybrał nas już przed stworzeniem świata, aby miłość uczyniła nas w oczach jego świętymi i nieskazitelny. Wedle upodobania i uznania swej wolnej woli przeznaczył nas za synów przybranych przez Jezusa Chrystusa” (Ef 1, 3—5).

„Toć objawił nam tajemnicę swej woli, zgodnie z wyrokiem, który postanowił wykonać w nim, gdy nadejdzie pełnia czasu, a mianowicie złączyć znów wszystko, co jest w niebie i na ziemi, w Chrystusie jako głowie” (Ef 1, 9-10).

Chciałbym wznieść się bardzo wysoko, Panie,
Ponad moje miasto,
Ponad świat,
Ponad czas.

Chciałbym oczyścić mój wzrok i od Ciebie pożyczyć Twych oczu.

Zobaczyłbym wszechświat, ludzkość, historię — tak jak je widzi Ojciec.

Zobaczyłbym w tym przedziwnym przemienianiu się materii,

W tym nieustannym wrzeniu życia

Twoje Wielkie Ciało, które rodzi się pod tchnieniem Ducha.

Zobaczyłbym piękną, odwieczną ideę miłości Twego Ojca, stopniowo realizującą się.

Wszystko. odnowić w Tobie: rzeczy niebieskie i ziemskie.

I zobaczyłbym, że dziś, tak samo jak i wczoraj, objęte są najmniejsze szczegóły.

Każdy człowiek ma swoje miejsce

Każda grupa i każdy przedmiot.

Zobaczyłbym tę fabrykę i to kino,

Dyskusję o umowie zbiorowej i kopanie studni,

Zobaczyłbym wywieszoną cenę chleba i gromadę młodzieży idącej na bal.

Malca, który przychodzi na świat, i starca, który umiera.

I zrozumiałbym ze wzruszeniem, że przede mną roztacza się Wielka Przygoda Miłości, zaczęta o brasku świata,

Historia świata, która według obietnicy zakończy się dopiero w chwale po zmartwychwstaniu ciała,

Gdy Ty staniesz przed Ojcem i powiesz: Tak jest.

Jam jest Alfa i Omega, Początek i Koniec.

Zrozumiałbym, że wszystko się łączy,

Że wszystko jest tylko jednym i tym samym ruchem całej ludzkości i całego wszechświata skierowanym ku Trójcy Świętej w Tobie i przez Ciebie, Panie.

Zrozumiałbym, że nic nie jest wyzute z Ciebie, ani rzeczy, ani ludzie, ani wydarzenia,

Lecz że, przeciwnie. wszystko od początku jest uświęcone przez Boga.

I że wszystko ma być uświęcone przez przebóstwionego człowieka. Zrozumiałbym, że moje życie, nieuchwytny oddech w tym Wielkim Ciele Totalnym,

jest niczym nie zastąpionym skarbem w planie Ojca.

Upadłszy więc na kolana podziwiałbym, Panie, tajemnicę tego świata, który mimo niezliczonych i straszliwych wykolejeńców grzechu

Jest nieustannym falowaniem miłości ku Miłości wiecznej.

Chciałbym wznieść się bardzo wysoko, Panie,

Ponad moje miasto,

Ponad świat,

Ponad czas.

Chciałbym oczyścić mój wzrok i od Ciebie pożyczyć Twych oczu.

MICHEL QUOIST

Postać Chrystusa Frasobliwego w rzeźbie ludowej

Jednym z najpopularniejszych tematów rzeźb ludowych jest Chrystus Frasobliwy. Rzeźbiony jest w pozycji siedzącej, głowę w cierniowej koronie wspiera na dłoni, a na twarzy Jego maluje się smutek, troska i zamyślenie. Dlaczego właśnie takie ujęcie postaci Jezusa ukochali ludowi twórcy? Wiąże się to zapewne z legendą, znaną szczególnie w opoczyńskim. Warto więc zapoznać i naszych Czytelników z tą regionalną opowieścią. Posłuchajmy zatem:

W dawnych czasach, których nawet najstarsi ludzie nie pamiętają, a znają jedynie z opowiadań swych przodków, chodził po wsiach polskich Chrystus Pan. Chodził i patrzył, jak ludzie żyją, czy lud Boży zachowuje Przykazania Boskie, czy się miłuje wzajemnie. Przebrany za biednego wędrowca odwiedził i wieś opoczyńskie. Nikt Go tam nie poznał. Miał wówczas około trzydziestu lat. Nadzwyczaj grzeczny zyskał uznanie wśród ludu. A mówca był z Niego — nad mówcami! Starał się służyć ludziom dobrą radą, nauką, mówił co jest złe, a co dobre, wytykał im wszystkie niegodne człowieka czyny, a najbardziej to gromił za pijaństwo, rozpustę, podpalanie, bójki, kręctwo, obłudę, zabobony, wróżbiarstwo i czary. Bowiem lud był wówczas strasznie zabobonny. Ludzie bardziej lgnęli do owczarzy, czarownic i czarnoksiężników niż do księży i do kościoła.

Pewnego razu wszedł Chrystus do karczmy, a tam — pełno pijanych chłopów siedzi. Usiadł więc z boku, na kamieniu i zaczął prosić, a tłumaczyć, jak wielkim grzechem jest opilstwo, jak olbrzymie szkody wyrządza rodzinie i samemu człowiekowi. A chłopci nic — piją dalej, śmieją się i nic sobie nie robią z Chrystusowych nauk.

Zmartwił się strasznie Chrystus, wsparł głowę na rękę, opartej na kolanie. Siedzi tak i myśli nad ludzką niefrasobliwością, nad niedolą i głupotą człowieka. Zadumał się strasznie. Ciernie stanęły ostro we włosach, zmarszczki orzą lica, frasuje się głos, pot Go zlewa. A z cierpi, rąk, nóg i z boku ciecze krew. Chrystus bardzo cierpi, zmartwia się. Robi się coraz bledszy i bledszy. Powolotku upodabnia się do kamienia, na którym siedzi. I tak, na oczach wszystkich, Chrystus skamieniał ze zgrozy i zmartwienia.

Oto dlaczego chłopci, co zdolniejsi, rzeźbią od tej pory Pana Jezusa (w drzewie lub kamieniu) jako Chrystusa Frasobliwego.

Chrystus Frasobliwy — rzeźba w drzewie Ryszarda Sęka (z województwa siedleckiego)



MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA ⁽⁷⁸⁹⁾

w opracowaniu bpa M. RODEGO

P

świata powoduje ruch, podobnie przyczyną ruchu ciała człowieka jest dusza. Dusza jest — tym samym — bytem wcześniejszym od ciała, istniejącym uprzednio w świecie idei. Nie jest pod względem wartości równorzędna jedynie z ciałem, w którym spełnia po prostu rolę kierowcy, a ciało musi być poleceniom duszy posłuszne. Miano człowieka przysługuje też tylko duszy, nie ciału. Bez duszy ciało jest martwe. Bez duszy ciało jest substancją niższego rzędu — szybko się rozpada, przemienia. Duch zaś według Platona ma jakby trzy postacie. Najważniejszą jest dusza rozumna, ale obok niej istnieje też dusza nierozumna, złożona z dwóch „części”. Dusza rozumna jest jak gdyby obrazem Boga i mieści się w głowie. Drugą duszą (a więc pierwszą częścią duszy nierozumnej) jest tzw. dusza gniewna, albo zwana też odważną, która mieści się w sercu. I dusza trzecia (druga część duszy nierozumnej) to dusza porywca, która mieści się w brzuchu. Dusza nierozumna jest natury cielesnej, zmysłowej, materialnej i ginie wraz z ciałem. Dusza zaś rozumna istnieje wiecznie, istniała więc i przed połączeniem się z danym ciałem w świecie idei. To połączenie duszy z ciałem jest karą za jakąś przewinę. „prawdopodobnie upatruje ją Platon w odwróceniu się od tego, co boskie, a zwróceniu się ku temu, co zmysłowe bo to uważa Platon za przyczynę wszelkiego zła w świecie” (tamże). Rzecz jasna, że dusza rozumna według Platona jest nieśmiertelna, to znaczy istniała wiecznie i istnieć będzie zawsze. Daje szereg uzasadnień, najważniejsze jednak wydaje się być twierdzenie o jednorodności, a więc i o koniecznej łączności dusz ze światem idei: idee są wieczne, nieśmiertelne, a więc i dusze. Idee są proste, niezłożone, dusze też. A więc jedno i drugie są nieśmiertelne. Natomiast po śmierci człowieka, czyli odłączeniu duszy od ciała — dobrzy, czyli dusze ludzi dobrych, otrzymują nagrodę, zli, czyli dusze ludzi złych — karę. Na czym zaś ta odpłatność polega?

Dusze wędrują — wędrówka dusz — metempsychoza (reinkarnacja, dzisiaj ta sama treść): „dusze dobre, zważywszy bezpośrednio po śmierci błędnego pokoju, wchodzą w ciała męskie, mniej dobre w ciała kobiece; dusze złe w ciała zwierzęce i to odpowiadające tym różnym przestępstwom i namietnościom, którym się poddawał człowiek za życia. Wszystko to dokonywa się w obrębie pewnego oznaczonego okresu światowego. Po jego upływie wracają ludzie do stanu pierwotnego i rozpoczyna się nowy okres świata” (por. tamże, j.w.).

A zatem dualizm: dwa światy — świat idei i świat zjawisk (ziemski), dwie części człowieka: dusza i ciało. Tam ważniejszy i wieczny świat idei, tu dusza, dusza rozumna, bo z dwóch części złożona dusza nierozumna dzieli los ciała.

Z filozofii Platona wiele czerpali filozofowie chrześcijańscy, dlatego o nim stosunkowo dużo napisaliśmy, aż do XIII wieku, zwłaszcza — św. Augustyn, o którym się mówi, że w poważnej mierze uchrześcijaśnił wiele poglądów filozoficznych Platona i oparł na nich swoją teologię, natomiast od połowy XIII w., od czasów — św. Tomasza z Akwinu, zwłaszcza filozofowie i teologowie Kościoła Rzymskokatolickiego w znaczniejszej i przeważającej mierze opierali się o filozofię — Arystotelesa, najwybitniejszego ucznia Platona, odpowiednio ją do potrzeb — w swoim ujęciu chrześcijaństwa — przystosowując. Współcześnie więc też część filozofów i teologów chrześcijańskich raczej bazuje na odpowiednio przez św. Augustyna schryścianizowanej filozofii Platona, filozofowie zaś i teologowie rzymskokatolicy zgodnie zresztą z poleceniem pap. Leona XIII: *Ite, ad Thoman*, tym samym do Arystotelesa, bo na nim głównie oparł się św. Tomasz, bazując na skatolizowanej przez św. Tomasza z Akwinu filozofii Arystotelesa.

Platonizm — → Platon.

AKTUALNOŚCI POLONIJNE

KRAJ

Po Sympozjum w Lublinie

Nakładem Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Towarzystwa „Polonia”, ukazała się w Lublinie ciekawa publikacja o polskiej literaturze emigracyjnej pod redakcją Wojciecha Białasiewicza. Stanowi ona plon sesji naukowej, zorganizowanej w czerwcu 1981 r. w Lublinie, wspólnie z Zakładem Duszpasterstwa i Migracji Polonii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Autorzy zamieszczonych szkiców zajmują się specyfiką literatury powstałej na emigracji, prezentacją polskich ośrodków wydawniczych za granicą bibliografią oraz bardziej szczegółowo twórczością nawiązaną do współczesnych polskich pisarzy i poetów.

WIELKA BRYTANIA

Podręcznik do nauki języka polskiego

Ukazał się podręcznik do nauki języka polskiego. W części pierwszej — przedstawia on polski alfabet i zasady wymowy. Część druga — zawiera 20 lekcji, w których wyłożone są podstawy gramatyki i składni. Ich uzupełnieniem stanowią rozmówki oraz wyjątki z literatury. Wreszcie część trzecia — przynosi krótkie teksty czyli czytanki. Wśród nich — słowa polskiego hymnu narodowego z angielskim przekładem oraz fragment powieści Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”. Na końcu — słowniczek angielsko-polski.

Przejrzysty układ książki ułatwia posługiwanie się podręcznikiem przeznaczonym dla młodzieży, a także dla turystów wybierających się do Polski.

Nowa książka, zatytułowana „Colloquial Polish”, wydana została przez Routledge and Regan Paul (Londyn 1983). Autorem jest B. W. Mazur, Polak wykształcony w Wielkiej Brytanii, który wykłada język polski i literaturę na Uniwersytecie Londyńskim i jest członkiem Polskiej Macierzy Szkolnej.

Warto wiedzieć, że polonistykę wprowadził na uczelnie brytyjskie W. R. Morfill, lektor a następnie profesor języków słowiańskich na uniwersytecie w Oksfordzie, autor pierwszego w tym kraju podręcznika do języka polskiego „A Simplified Grammar of the Polish Language” (1884 r.). W. R. Morfill wydał też pierwszą w Wielkiej Brytanii historię Polski opartą na źródłach polskich. Zatytułowana „Poland”, ukazała się w roku 1893.

BRAZYLIA

Film o etni polskiej w Paranie

W Bibliotece Publicznej w Kurytybie wyświetlono dokumentalny film o etni polskiej w Paranie, dzieło znanego reżysera Silvio Backa. Z uwagi na duże zainteresowanie — pokaz powtórzono.

Barwny film przedstawia sceny z życia starych polskich kolonistów i ich rodzin. Osiemdziesięcio i dziewięćdziesięcioletni dziś już

starszankowie opisują ciężkie warunki bytu na ziemi brazylijskiej, bez szkoły, bez kaplicy, bez lekarza, bez żadnej opieki ze strony miejscowych władz. Otrzymane od rządu działki wśród gęstwiny lasów musiały być spłacane przez wiele lat. Karczowanie puszczy, uprawianie niewielkich poletek, by zapewnić sobie skromne wyżywienie, kosztowało wiele niewypowiedzianych trudów i potu. Synowie i wnuki tych, którzy wyszli obronną ręką ze zmagania o byt, mają dziś nieporównywalnie lepsze warunki życia.

RFN

W trosce o polską mowę

Na łamach „Głosu Polskiego” — organu Związku Polaków „Zgoda” w RFN — zamieszczona została wypowiedź wiceprezesa Związku, a zarazem przewodniczącej Grona Nauczycieli Polonijnych, Wandy Gotowickiej, na temat kultywowania mowy ojczystej na obczyźnie. W artykule, zatytułowanym: „W trosce o polską mowę i kulturę narodową” autorka pisze m.in.: „Duma z utrzymania poprzez wiek ojczystej mowy w tym kraju nie zmniejsza naszych trosk o dalsze losy oświaty, skuteczne kontynuowanie dzieła zapoczątkowanego przez naszych przodków. Nie wolno nam przemilczać spraw trudnych, a do takich przede wszystkim zaliczyć musimy kurczenie się stanu naszego posiadania w dziedzinie nauczania mowy ojczystej, prowadzenia kursów języka polskiego, rozwijania działalności oświatowo-kulturalnej wśród młodego pokolenia. Jest to, co trzeba niestety podkreślić, zjawisko niekorzystne dla sprawy polskiej i nie wolno nam pogodzić się z tym stanem rzeczy”.

W imieniu grona nauczycieli polonijnych W. Gotowicka zwraca się „do wszystkich rodaków i rodaków, bez względu na przynależność organizacyjną” o wsparcie wysiłków mających na celu rozwijanie i poszerzenie pracy oświatowej wszędzie tam, gdzie żyją Polacy. Apeluje o nadsyłanie uwag, wniosków i wskazówek, które by przyczyniły się do rzetelnej oceny stanu faktycznego oświaty polonijnej, do spularyzowania dobrych wzorców w nauczaniu i wychowaniu młodego pokolenia.

FINLANDIA

Przeszość i teraźniejszość Zjednoczenia Polskiego

Zjednoczenie Polskie w Helsingforsie (dzisiejsze: Helsinki) założyli w r. 1917 Polacy, którzy wyemigrowali tu z ogarniętej burzą dziejową Rosji. Większość stanowili wojskowi, którzy porzucili armię cesarską, pragnęli tu przeczekać wojnę i powrócić do ojczyzny. Było ich około 3 tysięcy.

Zebranie założycielskie Zjednoczenia Polskiego odbyło się 3 kwietnia 1917 r. Po 2 miesiącach wynajęto dom przy ul. Rauhankatu, który nazywano powszechnie Domem Polaków. Powstała tam biblioteka i czytelnia, urządzano przedstawienia teatralne. Dziś jest tu około 400 polskich rodzin, wśród których stara emigracja to pokolenie odchodzące, będące w mniejszości wobec drugiej fali emigracyjnej. Prezesem Zjednoczenia jest obecnie Marek Szymczak, a jego zastępcą — Henryk Bigos.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (790)

Pleszczyński Adolf — (ur. 1841, zm. 1925) — ks. rzymskokatolicki, historyk Kościoła, etnograf, pisarz teologiczny. Napisał m.in.: *Wykład Litanii Lorentyńskiej* (1886); *Dziejowy żywot Jezusa Chrystusa Zbawiciela świata — w pytaniach i odpowiedziach wyłożony* (1895; II wyd. w 1903 r. znacznie powiększone); *Dzieje Akademii Duchownej Rzymskokatolickiej Warszawskiej* (1907).

Plethon — właściwe imię i nazwisko — Georgios Gemistos — (ur. 1355, zm. 1450) — Włoch, filozof, który pragnął odpowiednio do swoich czasów przystosować filozofię i teologię → Platona, i na jego cześć przybrał miano Plethona, w interpretacji też przez siebie odpowiednio przystosowywanego — neoplatonizmu (→ Plotyn) i z tak wykoncypowanego nowego jakby kierunku filozoficznego wyprowadzić, wykształtować nowy światopogląd, mający zastąpić albo ulepszyć światopogląd chrześcijański, właśnie wtedy monopolistycznie i to głównie we Włoszech panujący. W 1438 roku wznowił we Florencji → Akademię Platonską, którą po wiekach istnienia i działania zlikwidował w 529 roku ces. Justynian. Działalność naukowa Plethona była teologicznie ukierunkowana, a jego poglądy i usiłowania ich realizacji nie powiodły się. Jest autorem kilku prac specjalistycznych.

Pleroma — (gr. = pełnia) w → gnostycyzmie oznacza pełny świat → eonów, jakby pełnię bóstwa; jego przeciwstawieniem jest k e n o m a (gr. = próżnia), która oznacza mniej więcej tyle co świat materii.

Pletz Józef — (ur. 1788, zm. 1840) — austriacki ks. rzymskokatol., profesor dogmatyki, autor kilku książek, z których tu należy wymienić następujące: *Bemerkungen über die intellektuelle und moralische Bildung des Klerikers* (1812), czyli *Uwagi o intelektualnym i moralnym kształceniu kleru-*

ka; Dogmatische Predigten (1820), czyli *Kazania dogmatyczne; Predigten* (1826; 2 tomy), czyli *Kazania; Epistelerklärung* (1822; 3 tomy), czyli *Wykład lekcji* (czytanych we Mszy św., n.).

Plotyn — neoplatonizm

Powden Karol — (ur. 1743, zm. 1821) — angielski ks. rzymskokatol., jezuita, autor kilku dzieł, a m.in. następujących: *Considerations on the modern opinion of the fallibility of the Holy See* (1790), czyli *Rozważania na temat nowoczesnej opinii o omylności Stolicy Apostolskiej*.

Powden Robert — (ur. 1740, zm. 1823) — angielski ks. rzymskokatol., jezuita. Przetłumaczył z j. francuskiego na angielski książkę pt. *The Elevation of the Soul to God* (1794; 2 tomy), czyli *Wzniesienie duszy do Boga*.

Plucquet Franciszek A.A. — (ur. 1716, zm. 1790) — to francuski ksiądz rzymskokatolicki, profesor filozofii i teologii moralnej. Napisał m.in. *Examen du fatalisme* (1775; 3 tomy), czyli *Badanie (przeanalizowanie, n.) fatalizmu; Memoires pour servir à l'histoire des egarements de l'esprit humain* (1762; 2 tomy), czyli *Wspomnienia mające służyć analizie historii załamania ducha ludzkiego; Traité de la sociabilité* (1767), czyli *Traktat o towarzyskości; De la supériorité et de l'enthousiasme* (1804; wyd. pośmiertne), czyli *O zabobonie i entuzjazmie*.

Pluralizm — (łac. pluralis = liczny, mnogi — w najogólniejszym ujęciu oznacza wielość istnienia w jakiejś dziedzinie niezależnych od siebie, chociaż treściowo i genetycznie ze sobą „spokrewnionych”, czy zbliżonych do siebie zasad, elementów itp. Mówiąc np.: o pluralizmie światopogląd-

NOWY REKTOR KUL

Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Benon Miśkiewicz wręczył ks. biskupowi prof. Piotrowi Hemperkowi pismo zatwierdzające jego wybór na rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Nowym prorektorem KUL został doc. Jan Czerkawski.

Jednocześnie minister złożył dotychczasowemu kierownictwu uczelni z rektorem, ks. prof. Mieczysławem Krapcem, podziękowanie za ofiarną, długoletnią pracę.

UROCZYSTE INAUGURACJE ROKU AKADEMICKIEGO

W dniu 1 października br. rozpoczął się kolejny nowy rok akademicki 1983/84. W szereg uczelni odbyły się tego dnia uroczyste inauguracje. Przeżywali je najbardziej nowo przyjęciu studenci, którzy otrzymali indeksy słuchaczy I roku. Tego też dnia wielu zasłużonych pracowników szkół wyższych uhonorowano odznaczeniami państwowymi. Odbyły się również promocje doktorów habilitowanych i doktorów.

CZŁONKOWIE RADY KOŚCIOŁA METODYSTYCZNEGO U MIN. A. LOPATKI

W dniu 5 października kierownik Urzędu do Spraw Wyznań minister Adam Lopatka przyjął nowo wybraną Radę Kościoła Metodystycznego w PRL w składzie: Adam Kuczma — superintendent naczelny, Adam Kleszczyński — zastępca superintendenta naczelnego, Adam Hercun — sekretarz Rady Kościoła, Eugeniusz Mroczyński — skarbnik Rady Kościoła i Witold Benedyktowicz — członek Rady Kościoła i honorowy superintendent naczelny.

Członkowie Rady Kościoła Metodystycznego w PRL poinformowali o przebiegu i wynikach 62 Konferencji Ogólnej oraz przedstawili program działania Kościoła na najbliższy okres.

JUBILEUSZ M. LUTRA W RUMUNII

Kościół Luterski w Rumunii, liczący ok. 180 tys. wyznawców, przygotował cały szereg uroczystości związanych z 500-leciem urodzin M. Lutra. W dniu 6 listopada br. został odczytany we wszystkich parafiach specjalny list pasterski biskupa. Instytut teologiczny w Sibiu zaprosił na kolokwium poświęcone Reformatorowi także referentów prawosławnych, rzymskokatolickich i ewangelicko-reformowanych. Za temat kolokwium obrano — „Znaczenie M. Lutra w przeszłości i teraźniejszości”.

NOWY PRZEŁOŻONY DOMINIKANÓW

Obradująca w Rzymie Kapituła Generalna Zakonu

Kaznodziejskiego — oo. dominikanów dokonała wyboru nowego przełożonego generalnego, którym został 54-letni Irlandczyk o. Damian Alojzy Byrne — aktualny przełożony prowincji irlandzkiej dominikanów. W Kapitułe Generalnej uczestniczy 134 zakonników z 82 krajów, a odbywa się ona w siedzibie Papieskiego Uniwersytetu „Angelicum” w Rzymie.

DIALOG RZYMSKOKATOLICKO- PRAWOSŁAWNY

W Nikozji (Cypr) obradował niedawno komitet koordynacyjny Komisji Teologicznej Rzymskokatolicko-Prawosławnej, powołanej do życia w 1979 r. podczas spotkania papieża Jana Pawła II z patriarchą Konstantynopola Dimitriosem I. Komisja odbyła dotychczas dwie sesje plenarne, których owocem jest wspólny dokument „Misterium Kościoła i Eucharystii w świetle tajemnicy Trójcy Świętej”. Obecne posiedzenie komitetu koordynacyjnego było poświęcone przygotowaniu trzeciej sesji plenarnej, która prawdopodobnie uchwali kolejny dokument: „Wiara, sakramenty i jedność”. Posiedzenie trzeciej sesji plenarnej jest przewidziane w pierwszej połowie 1984 r.

PIELGRZYMKĄ EKUMENICZNĄ

Pięćdziesięciu pielgrzymów wzięło udział w pierwszej ekumenicznej pielgrzymce w Finlandii, która odbyła się na trasie od Turku do Ilomantsi. Wśród uczestników byli Anglicy, Finowie, Holendrzy, Rumuni, Szwedzi. Niemcy z RFN i Kostarykańczycy, członkowie Kościoła Rzymskokatolickiego, Luterskiego, Prawosławnego oraz wspólnot wolnokościelnych. Pielgrzymi wzięli udział w zakończeniu ekumenicznego kongresu kościelnego w Iyaskyla. W apelu wystosowanym do kongresu została wyrażona nadzieja na rychłe zjednoczenie całego chrześcijaństwa.

ZGON EKUMENISTY J. MACKAY'A

W Stanach Zjednoczonych zmarł w wieku 94 lat jeden z pionierów ruchu ekumenicznego, John Alexander Mackay. W latach 1936—1959 kierował on słynnym protestanckim Seminarium Teologicznym w Princeton. Jednocześnie w latach 1947—1958. był przewodniczącym Międzynarodowej Rady Misyjnej, która w 1961 r. połączyła się ze Światową Radą Kościołów. Osobiście wniósł poważny wkład do wzajemnego zbliżenia i ostatecznego połączenia obu organizacji. W latach 1954—1959 był też prezydentem Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych. Po przejściu na emeryturę prowadził wykłady z myśli hiszpańskiej na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie.



Wnętrze chrześcijańskokatolickiego kościoła pw. św. Piotra w La Chaux-de-Fonds (Szwajcaria)



Odbudowa niepodległego Państwa

— w 65 rocznicę

dokończenie ze str. 3

austriackimi. Od razu na początku pozbawiono Piłsudskiego komendy, zostawiając ledwie parę pułków, z których stworzono sławną I Brygadę. Całością dowodził oficer wyznaczony przez Austriaków.

Niepowodzenia i słabość polityczna Austrii powodują, że Piłsudski szuka porozumienia z Niemcami. Akt 5 listopada umożliwił powołanie Tymczasowej Rady Stanu, namiastki rządu, lecz pełniącej faktycznie funkcję opiniodawczą i współdziałającą w organizowaniu siły zbrojnej przy niemieckich władzach okupacyjnych. Rada zaczęła działać w styczniu 1917 r., a Piłsudski zgodził się objąć w niej Departament Wojskowy. Rychło jednak opuszcza stanowisko i dąży do zerwania z Niemcami. Przyczynił się do tego wybuch rewolucji w Rosji i obalenie caratu, a zapewne także rosnące przekonanie o nieuchronnej klęsce Niemiec w wojnie i dążenie do nawiązania współpracy z mocarstwami zachodnimi. Kryzys przysięgowy spowodował likwidację Legionów, internowanie części oficerów w Beniaminowie, żołnierzy w Szczypiornie. Wkrótce aresztowano Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego i osadzono w twierdzy w Magdeburgu. 15 X 1917 r. na miejsce Tymczasowej Rady Stanu powołano Radę Regencyjną, ta zaś rząd pod przewodnictwem Jana Kucharzewskiego, rozbudowujący aparat administracyjny. Aczkolwiek władze te były w pełni zależne od niemieckiego generał-gubernatora, były załżkiem odradzającej się administracji odradzającego się państwa.

Przez cały czas wojny tworzono formacje wojskowe o różnej liczebności i zasięgu działania. Obok legionów (ok. 20 tys.) w Rosji utworzono Korpus pod dowództwem Józefa Dowbora-Muśnickiego (ok. 29 tys.), we Francji sformowano armię dowodzoną przez Józefa Hallera (ok. 50 tys.), powołano pod protektoratem niemieckim Polską Siłę Zbrojną (ok. 9 tys.); mniejsze znaczenie miał Legion Puławski (ok. 900 ludzi) i tzw. bajończycy we Francji (200). Na szczególną uwagę zasługuje konspiracyjna, dobrze zorganizowana Polska Organizacja Wojskowa (POW), licząca ok. 30 tys. ludzi. Były to rzecz jasna organizacje tworzone przez różne formacje polityczne, często wrogie, a nawet walczące po przeciwnych stronach frontu. Ich różnorodność była równie duża jak skomplikowana była mozaiką polityczną w społeczeństwie polskim w przededniu odzyskania niepodległości.



Robrajanie Niemców w 1918 r. — Warszawa wolna od zaborców



Siłacy i Poznańcy — siłą wcieleni do armii niemieckiej — w listopadzie 1918 r. przypinali do czapek polskie orzelki

Państwa zachodnie uważały początkowo sprawę polską za wewnętrzny problem Rosji. Dopiero Stany Zjednoczone, nie związane formalnie układem sojuszniczym z Rosją ani z żadnym państwem zachodnim, dokonały zwrotu: prezydent Wilson w styczniu 1917 r. w orędziu do Senatu wypowiedział się za utworzeniem Polski zjednoczonej, niepodległej i samoistnej. W sierpniu 1917 r. utworzono w Paryżu Komitet Narodowy Polski, kierowany przez Romana Dmowskiego. Jego zabiegi szły w kierunku uznania odbudowy Polski za jeden z celów wojennej koalicji. W Ameryce w tym samym duchu — jako przedstawiciel paryskiego Komitetu — działał Ignacy Paderewski.

Revolucja październikowa i objęcie władzy w Rosji przez bolszewików jeszcze bardziej sprzyja odzyskaniu niepodległości. Dekret Komisarzy Ludowych przyznaje prawo do samookreślenia narodom Rosji, w tym także Polakom. Jednocześnie dekret o pokoju i wycofanie się Rosji Radzieckiej z wojny, a także rokowania pokojowe z Niemcami usuwają ostatnie wątpliwości aliantów w kwestii polskiej. Za niepodległą Polską opowiadają się kolejno Włochy, Francja, a także 5 I 1918 r. Wielka Brytania. 8 I 1918 r. prezydent Wilson ogłosił 14-punktowy program pokojowy, a punkt 13 mówił o niepodległej Polsce.

Na ziemiach polskich pozostających wciąż pod okupacją niemiecką trwała rozbudowa

administracji, powoływano polskie urzędy, funkcjonujące później, po odzyskaniu niepodległości, wydawano akty prawne, które zachowały swą moc, utworzono sądownictwo, wyrokujące w imieniu Korony Polskiej. O tworzeniu państwowości polskiej można więc mówić od stycznia 1917 r., nawet jeśli nie była to państwowość suwerenna i bez międzynarodowego uznania. O państwie suwerennym można mówić z chwilą usunięcia okupantów i przejęcia pełni władzy we wszystkich dziedzinach, tj. od 11 listopada 1918 roku.

Tego dnia Rada Regencyjna złożyła pełnię władzy w ręce przybyłego dzień wcześniej z Magdeburga Pilsudskiego, mianowanego Naczelnikiem Państwa. Władzę przekazał również powołany w nocy z 6 na 7 listopada rząd lubelski.

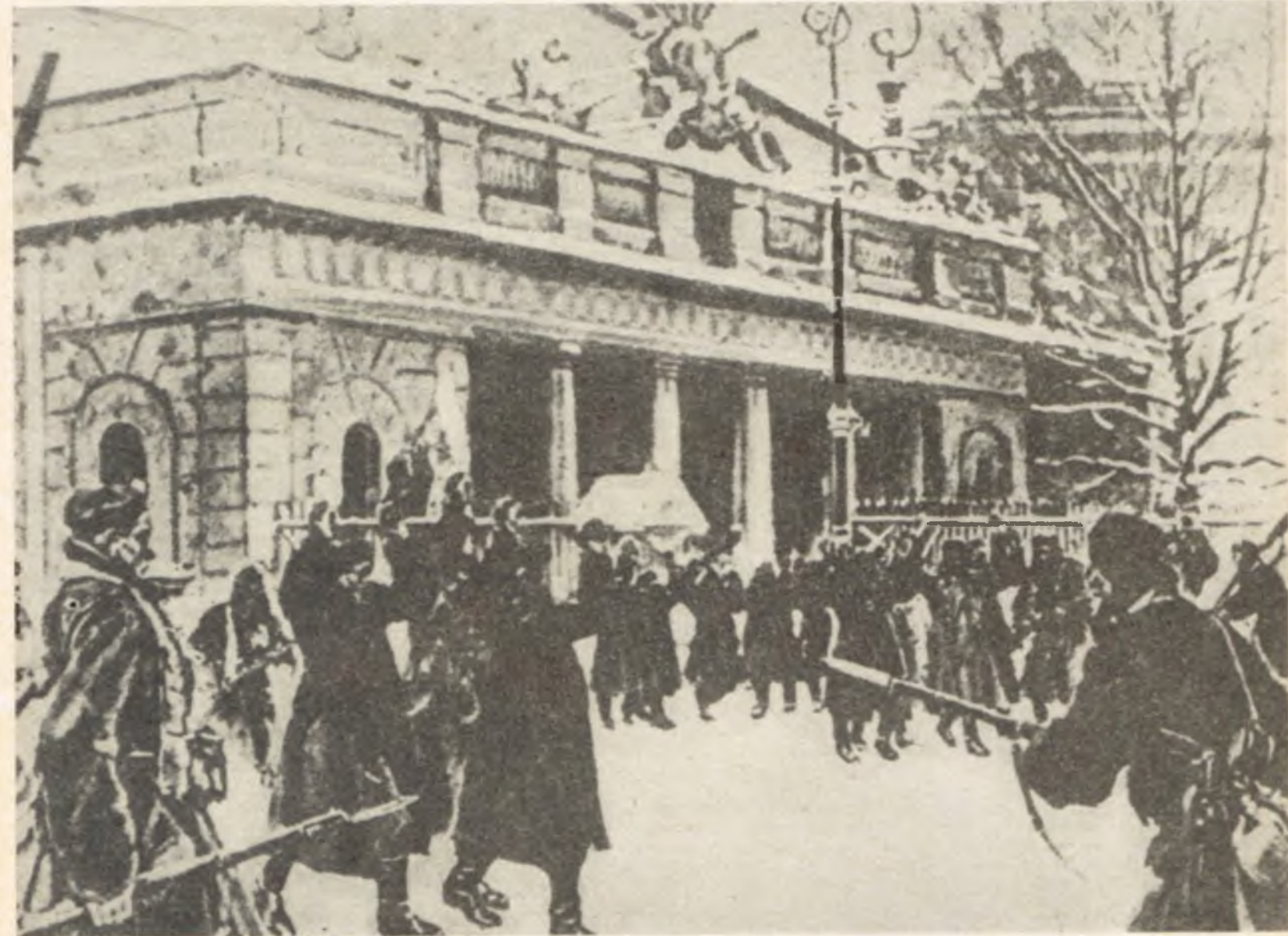
Dzień 11 listopada, aczkolwiek przełomowy i niezwykle doniosły, nie zamykał procesu odbudowy państwa. Należało ewakuować wojska niemieckie i austriackie z Polski, a ściślej z Królestwa Kongresowego i Galicji. Odkonstytuowało się to częściowo w drodze porozumień, ale także w starciach zbrojnych i poprzez rozbijanie dokonywane przez POW. Przed młodym organizmem państwowym stanął problem utworzenia rządu akceptowanego przez główne ugrupowania polityczne, powołanie organu ustawodawczego (wybory 10 II 1919), organizacji armii, a nade wszystko walki o granice. Przyszło o nie sto-

czyć wyniszczające walki zbrojne. W końcu 1918 r. i na początku 1919 o Lwów, i Galicję wschodnią, niemal równocześnie trwało powstanie wielkopolskie, na początku 1919 r. rozgorzał konflikt polsko-czeski o Śląsk Cieszyński, w latach 1919, 1920, 1921 wybuchały powstania śląskie, z Litwą trwał spór o Wilno i Wileńszczyznę, od początku 1919 do jesieni 1920 trwała wojna polsko-radziecka o przebieg granicy wschodniej. W lipcu 1920 r. odbył się plebiscyt na Pomorzu, Warmii i Mazurach.

Granice ustalone w wyniku konfliktów z sąsiadami i decyzji konferencji wersalskiej były proporcjonalne do sił i możliwości Polski. Na pewno nie odpowiadały one aspiracjom młodego państwa, ale szanse na lepsze rozwiązanie były bardzo niewielkie. W rezultacie takiego kształtu granic znalazło się w Polsce kilka milionów Ukraińców, Białorusinów, a także Niemców i Litwinów. Kilka milionów Polaków pozostało poza granicami — w Niemczech, Rosji radzieckiej, w Czechosłowacji i na Litwie. Załatwianie spraw granicznych trwało do 1922 roku.

Dzieje narodu polskiego w niewoli skończyły się w 1918 r., Polacy odbudowali własne państwo. Przyczynił się do tego — oprócz pomyślnych okoliczności — zbiórowy wysiłek wielu pokoleń patriotów: tych, co walczyli, tych co budowali — i tych, co tworzyli Polskę.

ANDRZEJ DERELKOWSKI



Zryw powstańczy społeczeństwa wielkopolskiego wymiottił okupantów z tej części kraju. Oto powstańcy w zdobycznych mundurach rozbijają żołnierzy niemieckich w Poznaniu



Moralny heroizm bohaterów powieści Conrada

Ci, co mnie czytają, znają moje przeświadczenie, że świat — ten doczesny świat — stoi na kilku bardzo prostych ideach, tak prostych, że muszą być stare jak sama ziemia. Stoi nade wszystko, wśród innych, na idei wierności”.

(J. Conrad)

Conrad jest niewątpliwie największym marynistą literatury żeglarskiej narodu angielskiego. Ale to tylko drobna cząstka jego tytułu do nieśmiertelnej chwały. Trzeba o nim powiedzieć, że to genialny autor, który pisał wspaniale o morzu. I wystarczy go porównać z dawnym klasykiem angielskim powieści morskiej, prostodusznym Marryatem, którego dziś czyta tylko młodzież, by stwierdzić, że sekret wielkości Conrada leży w jakiejś sferze wyższej niż jego znajomość morza i niezrównana umiejętność pisania o rzeczach i ludziach morza.

W dziełach Conrada stała się myślą przewodnią jest to, że życie jest bezustanną walką. Jedno z najpotężniej działających na czytelnika dzieł Conrada, krótka powieść „Smuga cienia” gloryfikuje zwycięstwo jednostki samotnej, odniesione nie tylko nad tysiącem straszliwych przeciwności, ale nad własnym zwątpieniem i bezwładem duchowym. Jest tak silne w wyrazie już choćby dlatego, że jest odbiciem głębokich a wstrząsających przeżyć osobistych, jak mówi już jego podtytuł „Wyznanie”. „Smuga cienia” daje nam wierny obraz ciężkich, przełomowych doświadczeń Conrada podczas jego pierwszej podróży kapitańskiej, obraz w tak głęboko prześlany ideowym ujęciu, że zawiera nie

tylko kwintesencję znanego nam już przeświadczenia Conrada o tej szlachetności i sile moralnej, do jakiej człowiek dojrzewa przez trudy zawodu żeglarskiego, ale staje się jakby alegorią ogólniejszego jeszcze faktu — moralnego rozwoju jednostki ludzkiej — poprzez przeciwności życia i własne przesilenia duchowe. Młody kapitan po młodzieńczemu uszczęśliwiony pierwszą swą komendą „wkracza na otwartą nową drogę życia z pełną i prostą wiarą”:

„Poczułem — mówi — jak bardzo byłem marynarzem, jak nim byłem i sercem i umysłem, i niejako całym sobą. Czuję się człowiekiem wyłącznie należącym do morza i do okrętów. Morze było dla mnie jedynym światem, który się liczył, okręty jedynym przebieżem męskości, temperamentu, odwagi, wierności — i ukochania”.

Z tym pełnym uniesienia wyznaniem wiary młodocianego idealizmu potężny kontrast tworzą te ważne słowa, które na końcu opowiadania młody kapitan po przebytej podróży wypowiada do sędziwego przyjaciela:

„Czuję się starym. I muszę nim być. Wy wszyscy na ładzie wydajecie mi się po prostu gromadką rozbrykanej młodzieży, co nie zaznała jeszcze żadnej troski w życiu”.

On tymczasem trosk tych zaznał pełną miarę i przez nie dojrzał. Nieubłagana cicha morska, co tak długo i na pozór beznadziejnie zatrzymała w drodze okręt, tysięczne rozpaczliwe trudności tego dręczącego stanu, począwszy od braku lekarstw dla chorych wśród załogi, a skończywszy na nieudolności jedynej pozostałej przy zdrowiu oficera, nade wszystko zaś bezustanna cicha walka z własnym zwątpieniem, obezwładnieniem woli i upadkiem ducha, walka symboliczna, toczona jakby z widmem dawnego starego kapitana tego samego okrętu — wszystko to z obrazu przygód żeglarskich urasta do rozmiarów obrazu prób i doświadczeń czynnego żywota ludzkiego w ogóle. Toteż jakby najwyższą naukę myśli autora z przejść i przemian młodego kapitana wyciąga słuchający jego zwierzeń weteran morski, gdy stwierdza w słowach najprostszych, że życie prawdziwie męskie, to pasmo zmagania ze światem i z samym sobą i że gdy nie ma z czym walczyć, to nie ma dla czego żyć:

„Człowiek powinien stawiać czoło swemu złemu losowi, swym błędom, swemu sumieniu i wszystkim takim rzeczom. Bo z czymże zresztą chciałby walczyć?”

I jakby dla dobitniejszego jeszcze zaznaczenia, że ta walka jest niezmiennym i dożgonnym przeznaczeniem człowieka, autor każe staremu wilkowi morskemu z uznaniem przyjąć oświadczenie młodszego, iż nie zazna spoczynku, dopóki nie wyprowadzi okrętu na wody Oceanu Indyjskiego, „a niewiele i wtedy”, i każe mu jeszcze dodać pełne zadumy słowa:

„Diabło mało spoczynku w tym życiu dla kogokolwiek, lepiej nie myśleć o tym”.

Jest w tej powieści wyrażona w szczególnie doskonały sposób jeszcze jedna myśl: niemniej często nawiedzająca Conrada i niemniej doniosła dla poważnego poglądu na życie: myśl o tej straszliwej, nieubłaganej samotności, w jakiej człowiekowi sądzonym jest przeżywać najcięższe w życiu chwile i w jakiej musi powziąć najbardziej przełomowe postanowienia. I tak jak najlepszym w oczach autora symbolem ciągłej walki życiowej człowieka jest żywot żeglarza, tak symbolem najwyrazistszym owej fatalnej samotności jednostki ludzkiej w obliczu najtrudniejszych zagadnień życia jest samotność kapitana okrętu na morzu, właśnie w „Smudze cienia”, choć bohater w krótkich i urywkowych tylko słowach mówi o największych swych udrękach duchowych,

a ostateczny przewrót wewnętrzny pokrywa wręcz milczeniem, jednak w najgłębiej przejmujący sposób przedstawiony jest cały ciężar tej odpowiedzialności za ludzi, za okręt i za siebie, którą dźwiga na sobie kapitan okrętu w swej wszechmocy na pokładzie i w swym zupełnym, nieludzkim prawie odosobnieniu na pomoście i w kajucie. Pod uciskiem tego moralnego brzemienia charakter musi albo skruszyć się zupełnie, albo zahartować na stal szlachetniejszą niż ją zrobić zdołają najbardziej ogniowe przeprawy życia czynnego wśród społeczności lądowej.

„Lord Jim” — jedno z największych dzieł Conrada, to również głęboko przez autora przeżyty utwór. Może właśnie dlatego Conrad ukrywa tutaj swoją osobowość aż za podwójną, zasłoną, bo opowieść o losach Lorda Jima włożona jest w usta „kapitanowi Marlow”.

Jim, bohater powieści jest pierwszym oficerem na statku handlowym, wożącym ludzi i towary pomiędzy różnymi portami dalekiego Wschodu. Jest to człowiek o romantycznym usposobieniu, z głową pełną rojeń o walecznych czynach i bohaterskich przygodach. Niestety, rzeczywistość w krytycznej chwili inne przybiera kolory: gdy okręt podczas burzy zagrożony jest zatonięciem, Jim — podobnie zresztą jak inni oficerowie — popełnia grzech nie do darowania przeciw żeglarskiemu kodeksowi honoru, opuszcza statek i pozostawia na pastwę losu setki jego pasażerów, biednych tubylców jadących z pielgrzymką do swych świętych miejsc. Pielgrzymi ostatecznie nie giną, bo statek nie tonie, ale Jim staje przed sądem marynarskim za porzucenie posterunku służbowego w chwili niebezpieczeństwa i w oczach ludzi swego dotychczasowego środowiska jest odkryty na zawsze hańbą. Usuwa się ze społeczności białych i skazuje się na dobrowolne wygnanie wśród Malajów. Tam stopniowo dorabia się dobrego imienia i poważania jako człowiek zany i sprawiedliwy. Okupując w ten sposób dawne przewinienie, odzyskuje wreszcie spokój sumienia i poczucie własnej godności, a długie lata tej pokuty wieńczy chlubną śmiercią; pozwala się zabić sędziemu wodzowi malajskiemu w odwet za śmierć jego syna, który był najlepszym wśród Malajów przyjacielem Jima, i który zginął z jego przyczyny, choć bez winy z jego strony.

Głębokie wzruszenie nad moralnym heroizmem tej dożgonnej pokuty, jaką na siebie nałożył bohater, wzrasta w czytelniku z każdą fazą jego historii i w końcu czujemy wszyscy to samo co conradowski Marlow, gdy swą ocenę życia „Lorda Jima” zamyka słowami: „Jest jednym z nas”, bo odkupił swe młodociane przewinienie w sposób godny uczestnika w wielkim dziedzictwie ideowych wartości i moralnych zasad naszej cywilizacji.

Analogia między przestępstwem Jima a zarzuconą kiedyś Conradowi dezercją z „tonącego okrętu” Polski porobiorowej jest oczywista. Conrad, który się pozuwał do winy wobec kraju rodzinnego, odkupił ją — jak jego własny Lord Jim — choćby tym, że przez całe nowe życie w obcym świecie trwał na najwyższym poziomie szlachetności moralnej i bohaterstwa życiowego, najpierw jako marynarz bez trwogi i bez skazy, potem jako pisarz niestrudzenie wierny ideałom swej sztuki. Jak Lord Jim całym swym życiem stworzył dla siebie dobrą sławę i chlubne imię wśród obcych, i jak Marlowe o tamtych, tak my Polacy o naszym rodaku Conradzie z dumą możemy powiedzieć: „Jest jednym z nas”.

EWA STOMAL

WARSZAWA W LISTOPADZIE 1939 ROKU

Podróż do Warszawy w pierwszych tygodniach okupacji była wielką niewiadomą. Jak okupanci odnoszą się do ludności? Czy miasto wróciło już do normalnego życia? Czy sklepy są już otwarte? Jak kursują pociągi? Takie i podobne pytania nasuwały się nam, gdy razem z bratem Staszkiem postanowiliśmy wybrać się do okupowanej stolicy.

Właściwie to do tej podróży zmusiły nas trudne warunki aprowizacyjne, jakie nastąpiły w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu. Najbardziej gniebiła nas wszystkich niepewność jutra oraz brak artykułów pierwszej potrzeby: soli, cukru, zapalek, nafty itp. Na dworcu kolejowym w Białej Podlaskiej spotkała nas mała niespodzianka. Otwarto już bowiem kasy biletowe i rozpoczęła się normalna sprzedaż biletów.

Do Warszawy przyjeżdżamy wraz z zapadającym zmrokiem około godziny 16.00 na Dworzec Główny. W stolicy jestem po raz pierwszy i może dlatego podziwiamy ogromne miasto i spory ruch na ulicach robi na mnie wrażenie. Staszek jednak szybko pociąga mnie za sobą: — Warszawę zobaczysz jutro, a teraz jak najszybciej trzeba dostać się na ulicę Wronią. Musimy złapać jakiś tramwaj. Na szczęście nie mamy przy sobie zbyt dużych bagazy i to nam ułatwia dostanie się do niemiłosiernie przepelnionego wozu.

Na Wronią przyjeżdżamy już o dobrym zmroku. Staszek przedstawia mi swojej byłej gospodyni (w Warszawie mieszkał już przed wojną), dość tęgiej, ale sympatycznej z wyglądu kobiecie. Wita ona nas dość ciepło, może zbyt hałaśliwie.

— Męża nie ma w domu — mówi po chwili, ale to nic. Może się czegoś napijemy? My tak bardzo jeszcze nie biedujemy, bo mąż pracuje w piekarni.

Bąkam kilka zdawkowych słów i rozpoczynamy pogawędkę. Przyjęcie przeciąga się dość długo, dlatego może, że kobieta opowiada nam o tragicznych dniach Warszawy. Słuchamy z dużym zainteresowaniem, wreszcie, około północy, udajemy się na spoczynek.

Budzimy się dość wcześnie, ponieważ mamy do dyspozycji tylko jeden dzień na załatwienie różnych spraw. Zaraz więc po śniadaniu wychodzimy. Teraz dopiero będę mógł zobaczyć stolicę. Aby nie tracić czasu, na najbliższym przystanku wsiadamy do tramwaju — chcemy od razu dostać się do centrum miasta. Wsiadamy dopiero przy Al. Jerozolimskich, tuż przy ul. Żelaznej. Udajemy się do znajomego nam sklepu p. Perchucia. Tam, pomimo dużego ruchu i kolejki, dostajemy 5 kg cukru i tyleż soli. Pan Perchuć, jak każdy chyba kupiec, bardzo się śpieszy, ścisną nam na pożegnanie dłoń, po czym nagle odwraca się i mówi szeptem: Pozdrowcie waszego ojca i moją rodzinę w Rososzu!

Wracamy na Wronią, musimy zostawić zakupione towary w mieszkaniu. Zapomniałem jeszcze dodać, że przywieźliśmy do Warszawy około 10 kg masła, które Staszek chce rozdzielić między swoich znajomych. Pokazać się teraz w stolicy z pustymi rękami nie wypada (tłuszczu i mięsa stałe tu brak). Masło kosztuje obecnie w Warszawie 8 zł za 1 kg. Teraz jeszcze mamy kupić mydło, tytoń, bibułkę i karbidówkę. Lampa karbidowa jest obecnie bardzo modna w stolicy, ponieważ większa część miasta pozbawiona jest w dalszym ciągu oświetlenia.

Jak wiadomo, w czasie obrony stolicy poważnemu uszkodzeniu uległa główna elektrownia. Obaj z bratem uważamy, że i w naszych warunkach lampa karbidowa jest bardziej praktyczna niż natłowa, tym bardziej, że naftę kupić jest bardzo trudno. Na Kruczej kupujemy karbidówkę i 5 kg karbidu.

Dopiero po obiedzie, spożytym razem z gospodynią i jej mężem, udajemy się na dalsze zakupy. Teraz Staszek może mi już poświęcić więcej czasu. Kiedy przejeżdżamy tramwajem koło dużego, zniszczonego budynku, mówi do mnie szeptem:

— Patrz, tu był szpital im. Dzieciątka Jezus. W 1938 r. leżała tu nasza mama.

Mimo woli ogarnia mnie wzruszenie, to było mniej więcej rok temu, a potem zaraz rozgoryczenie:

— Nawet szpitala nie uszanowali barbarzyńcy.

— Gdyby to tylko ten jeden. Zniszczony jest szpital Sw. Ducha, Czerwonego Krzyża, na Żoliborzu oraz szpital im. Piłsudskiego, dodaje Staszek.

Wsiadamy dopiero teraz przy Nowym Świecie. Na chodnikach panuje duży ruch, wśród przechodniów dużo Niemców w mundurach, żołnierze, oficerowie, a często widzimy również feldżandarmerię. Z nienawiścią patrzę na powiewające na wietrze brunatnoszare sztandary niemieckie ze sfastyką. Na każdym niemal kroku widzi się jeszcze ślady niedawnych walk; zniszczone domy, obity tynk na murach, popękane chodniki, większe lub mniejsze rysy od kul. Przy sklepach z artykułami spożywczymi olbrzymie węże kolejek. Cukier, mąkę, sól wydają sklepy w ograniczonych ilościach po 1/2 kg na osobę.

Chociaż nie znam Warszawy, wiem jednak, że na Nowym Świecie znajduje się stara, zasłużona i ceniona firma wydawnicza M. Arcta. Ta, przeszło sto lat licząca firma, była w Warszawie wraz z Gebethnerem i Wolfem najbardziej lubianym i cenionym wydawnictwem.

— Muszę odwiedzić oba te wydawnictwa i kupić na pamiątkę książki — mówię do brata.

Staszek, zamiast odpowiedzi, wzruszył lekko ramionami, ale nie zaprotestował. Księgarnia M. Arcta zrobiła na nas jak najlepsze wrażenie. Wnętrze księgarni bardzo estetyczne i pomysłowe, pełne książek i wystawowych gablotek, a uprzejmi sprzedawcy zjednali sobie naszą sympatię. Po krótkim wahaniu wybieram „Beaugeste” — Wrena, powieść z życia legii cudzoziemskiej. Potem poprosiłem brata, abyśmy udali się do Gebethnera i Wolfa, na Krakowskie Przedmieście. I ta stara firma również nam się bardzo podobała. Uprzejmi sprzedawcy doradzają nam wiele tytułów, ale ja wybieram bez namysłu moich ulubionych pisarzy: „Przygodę Londona i „Czarny Łąk” Marczyńskiego.

Po wielu wrażeniach, jakich doznałem po odwiedzeniu tych starych i znanych wydawnictw, powiedziałem do Staszka:

— Teraz, jeśli sobie życzysz, możemy już pojechać na Plac Kazimierza. Ale Staszek tym razem zaprotestował:

— Jak to — nie chcesz zobaczyć katedry Sw. Jana i Zamku Królewskiego?

Wprawdzie Katedra jest zniszczona, zwłaszcza Zamek, ale mimo to warto zobaczyć. Idziemy. Od Gebethnera i Wolfa do Zamku i Katedry nie jest daleko. Przez chwilę patrzymy na ruiny, a potem ogarnia nas żal i rozgoryczenie, że tak stare i cenne budowle uległy zniszczeniu. Jak okrutna jest wojna... Tymczasem okupanci całą winą za zniszczenie miast obarczają Anglię rozlepionymi plakatami: Anglio! To twoja wina!

Teraz już jedziemy tramwajem na Plac Kazimierza. Mamy wprawdzie aż dwie przesiadki, ale dość szybko jesteśmy na miejscu. Tu panuje olbrzymi ruch, dosłownie tłumy ludzi przelewają się z jednej bramy na drugą. Wrzask i gwar potęgują jeszcze płyty pafonowe, które usłudni sprzedawcy zmieniają bez przerwy. Słyszę tu popularną przed wojną „Rebekę”, „Tango Milonga”, „Apaszem Stacho był, „Czemuś o mnie zapomniał”, „Szkoda twoich łez, dziewczyno” i wiele innych przebojów. Chętnie kupiliśmy te najpiękniejsze płyty, ale nie mamy w domu pafonu. Kupujemy tylko 5 kg tytoniu i 50 książeczek bibulek „Aida” i z pewnym żalem opuszczamy gwarny, ale dość przyjemny Plac Kazimierza. I tutaj zaraz czeka nas przyjemna niespodzianka, w bramie wpadamy niemal na Krzysztofa Obniskiego, naszego dobrego znajomego z pamiętnych dni września. ... pada sakramentalne „Góra z górą się nie zejdzie” ... — po czym Krzysztof zabiera nas na Zytnią, gdzie mieszkają jego rodzice. Nie ma mowy, aby się czymś wykręcić — Krzysztof nie chce o niczym słyszeć.

Rodzice Krzysztofa przyjmują nas bardzo serdecznie, a po chwili panuje już taka miła atmosfera, jakbyśmy się znali co najmniej kilka lat.

Dopiero po trzech godzinach udaje się nam pożegnać sympatycznych gospodarzy. Krzysztof i jego rodzice zapraszają nas do odwiedzenia przy najbliższej okazji. Są dobrej myśli i uważają, że Niemcy długo miejsca w Warszawie nie zagrzeją.

Ale to jeszcze nie koniec miłych niespodzianek. Na Koszykowej spotykamy ulicznego sprzedawcę na wózku... Barwne kolorowe okładki książek nęcą mnie i nie pozwalają przejść obojętnie. Rzucam okiem na wózek i ogarnia mnie zdumienie, są tu książki których w księgarniach nabyć nie można. Jakim cudem znalazły się na wózku powieści z tak zwanego Dalekiego i Dzikiego Zachodu? Cena każdej książki śmiesznie niska, tylko 1 zł za sztukę. Wśród autorów sami klasycy tego rodzaju powieści: Horton, Roberts, Chambers, Baxter, Cyen i inni. Kupuję wszystkich po kolei. Od dalszych zakupów powstrzymał mnie rozpaczliwy głos Staszka:

— Człowieku, jak my to wszystko zabierzemy?

Staszek płaci sprzedawcy 7 zł i teraz już szybko udajemy się na Wronią.

W listopadzie szybko zapada zmrok, dni są krótkie, nieco mgliste i pochmurne. Nie zdążymy dzisiaj ani jutro odwiedzić wszystkich znajomych brata. Będziemy musieli zostać jeszcze jeden dzień w stolicy. Fakt ten raczej nas cieszy niż smuci, wszystko tutaj jest dla mnie nowe i ciekawe.

Po podwieczorku składamy kilka wizyt w różnych dzielnicach miasta, ale musimy się śpieszyć, gdyż w Warszawie obowiązuje godzina policyjna. Już o zmroku okupanci zwiększają patrole wojskowe, nie czują się widocznie pewnie, a może są zbyt ostrożni?

U znajomych brata spotykamy się z dość optymistyczną nadzieją, że Niemcy wojnę muszą przegrać — i to już w następnym roku. Niepokoń tylko wszystkich los Stefana Starzyńskiego, aresztowanego przez okupantów już w październiku. Warszawiaci wspominają i bardzo cenią swego prezydenta. Gdyby takich ludzi we wrześniu było więcej...

Przed ósmą wracamy do domu. Na ulicach powoli zamiera ruch, tylko żołdacy niemieccy miarowo przemierzają po dwóch, a nawet trzech, ulice miasta.

8 listopada jeszcze przez cały dzień jesteśmy w stolicy; uzupełniamy drobniejsze zakupy, odwiedzamy znajomych, między innymi byłą sympatię brata, Irene, wcale miłą dziewczynę.

O 10 rano następnego dnia opuszczamy z pewnym żalem stolicę, żegnani przez sympatyczną gospodynię. Któż z nas przypuszczał wtedy, że wojna potrwa blisko sześć lat i będzie okrutna, straszna i bezlitosna.

CZESŁAW BUJNIK

Ona i On

(Liryka miłosna)

Włosy twoje — iskry wesole.
Oczy duże, zalotne, zdrowe,
a wyraz ich — w głąb serca wpada,
zdają się myśli odgadywać,
dno serca badać...

(„Oczy twoje...”)



Pod drzewem bzu białego
szepnęła ona do niego:
„Tyś mój, na wieki cale,
bo z Tobą jest życie wspiane!”

On dłoń Jej ścisnął w swej dłoni,
a drugą oczy zaslonił.
„Na wieki — rzekł — to chyba za długo,
bądź w życiu doczesnym mą lubą”.

(„Pod drzewem bzu białego”)



Zwiewność — mgły,
czar — ciepłych wieczorów lata,
delikatność — motyla
tajemnie w sobie splatasz.

Dodajmy do tego
wdzięk — kobiety
i urok — wiosny,
a otrzymamy — Twój portret miłosny.

(„Portret”)

On mówił:
„Ty jedna, co mnie rozumiesz.
Jedyna, co tak pięknie słuchać umie”.

A Ona:
„Pochlebne Twe słowa, lecz czyny
dla innej, widać, dziewczyny”.

(„Słowa”)

— Czy kochasz mnie? Prawdę mi powiedz.

— Powiem Ci. Kocham...

Jak życie swe, młodość i zdrowie,
jak dziecię najdroższe w objęciach.
Bez Ciebie żyć? Nie do pojęcia.

— I ufasz mi? Czy warto było?

— Czy warto? Nie wiem...
Lecz kocham Cię serca siłą,
nie myślą, ni prawem rozsądku.
Od kiedy? Nie widzę początku.

(„Jak kocham...”)





Bursztynowe łzy

Na stromym wzniesieniu, tuż nad brzegiem groźnie szumiącego Bałtyku, stała niewielka rybacka chatka. Mieszkała w niej kilkunastoletnia dziewczynka imieniem Ofka.

Ciężkie i smutne było życie Ofki. Ojca — rybaka — zabrało morze, gdy była jeszcze zupełnie małą. Niewiele później odeszła też mama — tęsknota za mężem i codzienne troski tak zniszczyły i podkopały jej siły i zdrowie, że życia nie zatrzymała nawet miłość do jedynej córki. Ofka została więc sama, mając za jedyne przyjaciółki białopióre mewy i szumiące cicho sosny. Przeplakała Ofka nad brzegiem morza tyle dni i nocy, że w końcu zabrakło jej nawet i łez...

Utrzymywała się z tego, co dawało jej morze. Bałtyk, jak gdyby chcąc wynagrodzić dziewczynce wyrządzoną krzywdę stał się dla Ofki niezwykle hojny. Co rano, każdego dnia, wyrzucał pod jej bosa nóżki okruchy bursztynu — morskiego złota, tak chętnie skupywanego przez kupców w pobliskim miasteczku. Za uzyskane ze sprzedaży pieniądze Ofka kupowała sobie żywność i ubranie. Mijały tygodnie, miesiące i lata...

Ofka nie przyjaźniła się z nikim. Bolały ją współczujące spojrzenia ludzi z miasteczka, gniewały — litościowe słowa czy gesty. Uciekała wtedy szybko do swojej samotni, do mew i sosen, im powierzając swoje codzienne troski, kłopoty i ten straszny głuchy żal za utraconym światem beztroskiego dzieciństwa.

Któregoś dnia, jak zwykle, Ofka wyszła nad morze. Rano było wyjątkowo pochmurny, wiatr ostry, a morze wzbu-

rzane. Mewy z ostrzegawczym krzykiem krążyły nad głową Ofki, a stare sosny głośnym szumem przywoływały dziewczynkę do siebie, do domu. Ofka jednak szła dalej, co raz to pochylając się nad wyrzuconym przez morze skarbem — kolorową muszlą, okruchem bursztynu, pięknie połyskującym kamieniem, oszlifowanym przez słoń, morską wodę... Nie bała się morza, spienione fale nie mogły jej uczynić żadnej krzywdy większej od tej, którą już doznała.

Nagle wzrok jej spoczął na leżącej na brzegu, strzaskanej łodzi. Rozbita burta świeciła czarną dziurą, przez którą przelewały się nadpływające fale. Podbiegła w tę stronę, bacznie rozglądając się po całej okolicy. Ta łódź musiała rozbić się niedawno na morzu o podwodne skały, może był w niej jakiś człowiek potrzebujący pomocy? Dobiegła, spojrzała — przecucie nie myliło jej. Na dnie łodzi leżał jakiś nieprzytomny mężczyzna, z głowy ciekła wąska strużka krwi...

Nameczyła się Ofka porządnie, zanim jako tako opatrzyła głowę rannego i nieprzytomnego. Nie bardzo wiedziała, co może jeszcze zrobić — sama nie potrafi przecież przenieść dorosłego człowieka do swej chatki, stojącej na stromym wzgórzu. Wiedziała natomiast, że ten biedny człowiek może zamarznąć — pobiegła więc do chaty po lucywo i siekiere. Gdy wróciła, z desek łodzi rozpalila duże ognisko i zaczęła rozcierać nieznanemu ręce.

Widocznie rana nie była zbyt głęboka, a omdlenie zbyt silne, gdyż po paru minutach nieznanemu otworzył oczy. Wielkie, błękitne oczy — jak morze w czasie spokoju, a niebo w czasie czerwcowego upału. Zapatrzył się tymi oczami w bladą twarz Ofki, spróbował się uśmiechnąć.

— Zginąłbym bez ciebie, dziewczyno... — szepnął. — Uratowałaś mi życie...

Dziwne to było uczucie, ale Ofka, po raz pierwszy od wielu lat, śmiało spoglądała na nieznanego. Nie czuła się onieśmielona, nie bała się go, nie raziło jej też spojrzenie tego biedaka, jak go nazwała w myśli. Może przez te oczy, pełne ciepła i uśmiechu, jaki czaił się na ich dnie? Może przez te zmarszczki, pokrywające drobną siateczką całą twarz, spaloną wiatrem i słońcem? Może...

Wkrótce udało się Ofce zaprowadzić Jarka — bo tak miał na imię nieznanemu — do domu. Ciężka to była przeprawa, ale uwieńczona sukcesem. Zdziwienie Jarka, że Ofka sama tak pięknie w chacie gospodarzy — dodało dziewczynie sił. Gdy tylko nowy przybysz w jej samotni zasnął — pobiegła do wioski po lekarza.

Z szumem sosen i morza minęło następnych kilka tygodni. Ofka pielęgnowała Jarka, gotowała dla niego i... śpiewała. Jej dźwięczny głos, unoszony wiatrem, docierał aż do wioski. Ludzie kręcili głowami ze zdziwienia, szeptali coś do siebie, zgadywali... Dziwne też było to, że od czasu, gdy Ofka przybiegła po lekarza, już nie pojawiła się w wiosce. Nie przynosiła bursztynu, by go sprzedać — z czego więc żyła?

Po wyzdrowieniu Jarek zbudował sobie nową, piękną łódź. Co rano, gdy pogoda dopisywała, wyruszał na morze po ryby. A morze — raz spróbowawszy — więcej nie sięgało już po tego rybaka, który stał się oparciem dla samotnej dotąd dziewczyny. Dla niej łowił, dla niej znosił cudeńka znalezione w czasie wypraw. Rozkołysane morze niesło go na swych falach łagodnie i opiekuńczo, wprost na wydmę pod wzgórzem, na którym stała chata Ofki. I z której codziennie rozbrzmiewał wesoły, dziewczęcy śpiew.

Któregoś dnia Ofka wyszła z Jarkiem nad morze. Szli powoli trzymając się za ręce, od czasu do czasu ze śmiechem uskakując przed napływającą falą. W pewnej chwili Ofka przysiadła na pięcie, zaczęła przesypywać piasek między palcami.

— Wiesz, miły — powiedziała — od jakiegoś czasu zupełnie nie mogę znaleźć bursztynu. Jakby się pod ziemię zapadł, nigdzie ani okrucha...

Zamyślił się Jarek głęboko, siwe brwi zmarszczył. Wreszcie uśmiechnął się do Ofki i rzekł:

— Wydaje mi się, że wiem dlaczego tak jest. Pamiętasz, gdy zostałaś sama, ciągle płakałaś... Widocznie twoje łzy zamieniły się w bursztyn — były tak samo, jak i on, czyste i niewinne. A morze po prostu oddawało ci swoją własność... Dziś nie ma już bursztynu, a i twoje troski odeszły. Wraz z nadejściem szczęścia odchodzą łzy — tak to już w życiu bywa. Dopóki nie będziesz mogła znaleźć okrucha bursztynu — będzie trwało twoje szczęście...

A po chwili, patrząc z namysłem na morze, dodał:
— I moje też...

E. LORENC

Z zagadnień etyki chrześcijańskiej

Fundamenty moralnego dobra

Stali czytelnicy niniejszego kącika mogą dziś mieć pretensję, że zamiast posuwać się naprzód w relacjonowaniu zagadnień etycznych wracam do omawianych już tematów. Istotnie pogadanka zamieszczona w tym numerze powtarza, a ściślej mówiąc streszcza tematykę przedstawioną przed kilkoma miesiącami. Czym to wytłumaczyć? Pomijając racje zawarte w powiedzeniu: „powtarzanie jest matką wiedzy”, uważałem za konieczne przypomnienie źródeł dobra moralnego, bo właśnie w programie mamy zapoznawanie się z tym wszystkim, co umożliwia dobre działanie i sprawia, że o danej osobie mówimy: to dobry człowiek, to lekarz z powołania, to święta matka, to mąż boży.

Chrześcijańska nauka etyczna zna dwa fundamenty dobra w

człowieku. Jednym jest nasza duchowo-cieleśna natura i ten fundament zwiemy naturalnym lub przyrodzonym, oraz łaska Boża wysłużona przez Chrystusa, której pierwsze udzielanie następuje w sakramencie Chrztu świętego i to jest fundament nadnaturalny, czyli nadprzyrodzony. Należy zaznaczyć, że nie są to numerycznie oddzielne bazy dobra w człowieku, jak dla przykładu dwa silniki jednego samolotu. Łaska wchodzi w naturę i uszlachetnia ją, a przede wszystkim wynosi na poziom życia bożego. Łaska po prostu uskrzydla naturę.

Naturalna baza dobrego człowieka

Stwórca powołał do bytu człowieka jako istotę ze wszechmiar dobrą. Na skutek upadku pierwszych ludzi, w naszej zmysłowo-duchowej naturze nastąpiły niekorzystne zmiany. Duch utracił część władzy nad ciałem. W jednolicie dobranym fundamencie potworzyły się szczeliny, w których plenić się zaczęły wady i grzechy. Osłabiona, skłonniejsza do złego niż do dobrego nasza natura nie przestała jednak być w swej istocie dobrą i nie utraciła zdolności do moralnie dobrego działania. Kto potrafi wykrzesać z siebie dużo dobrej woli, kto wyznacza sobie wzniosłe cele i konsekwentnie je realizuje, ten nawet bez nadzwyczajnej pomocy Boga może uzyskać wysoki stopień naturalnej dobroci, wprawę w moralnie dobrym działaniu, potrafi stworzyć wielkie, godne podziwu materialne i duchowe dzieła, stanowiące przykład dla in-

nych. Historia opowiada o takich ludziach. Przypomnijmy sobie greckiego mędrca Diogenesa, któremu za mieszkanie wystarczyła porzucona beczka! Filozof ten wyzbył się wszelkich pragnień. Starzał się jedynie o to, co najpotrzebniejsze do życia. Kiedyś król Aleksander Macedoński, wdzięczny za uzyskane od Diogenesa rady, przyszedł osobiście do mędrca, by go wynagrodzić. „Jakiej zapłaty żądasz mistrzu? Mów, a spełnię każde twe godziwe pragnienie!” — zapytał wielki król, nachylony nad beczką, w której spoczywał Diogenes. Filozof odpowiedział: „Mam tylko jedno pragnienie królu — odejść, przynajmniej jeden krok od beczki, bo mi zasłaniaś słońce, które ogrzewa moje zziębnięte ciało”. Nie trzeba sięgać aż do starożytności, by zobaczyć ludzi wielkiego ducha, mimo że stoją z dala od Boga. Przerastają oni o głowę wielu chrześcijan swoją szlachetnością, chociaż powinno być odwrotnie, bo Chrystus swoim wyznawcom zostawił cały arsenał środków ułatwiających walkę ze złem i umożliwiających wspinanie się na szczyty doskonałości. Niestety, nie wszyscy, którzy uważają się za uczniów Zbawiciela, chcą się wspinać. I to jest bolesne.

Baza działania nadprzyrodzonego

Jedna z poczytnych książeczek dla młodzieży nosi tytuł: „Kto mi dał skrzydła?”. Zapytany tymi słowami chrześcijanin powinien odpowiedzieć: „Chrystus!” Syn Boży przez swoją mękę i śmierć na krzyżu wysłużył dla ludzkości światło Bożej przyjaźni, czyli łaskę.

Ona sprawia, że nasza natura zyskuje zdolność wzniesienia się ponad poziom życia doczesnego, a naszym dobrym czynom nadaje wartość niezniszczalną w czasie. Bez łaski Bożej nawet największymi ofiarami nie zasłużylibyśmy na szczęśliwą wieczność w domu Ojca. To miał na myśli Zbawiciel, gdy uczył: „Beze mnie nic uczynić nie możecie”. Nasze ciało i duch, uszlachetnione nadprzyrodzonym światłem łaski, zyskują moc i przywilę uczestniczenia w życiu Bożym. Czyny wykonane w łasce mówią o naszej szlachetności nie tylko ludziom na ziemi, ale i Bogu. One otwierają nam bramy domu naszego niebieskiego Ojca, dlatego święty Paweł z taką radością woła: „Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia”.

Należy jednak pamiętać, że Bóg nie jest ograniczony w działaniu. Jego Duch tchnie kędy chce. Stwórca może dawać łaskę nawet ludziom stojącym na ubożcu, z dala od życia kościelnego. Jeśli za czasów apostołskich dar Ducha świętego, ku zdumieniu wiernych, otrzymali nawet poganie i święty Piotr nie mógł im odmówić Chrztu świętego, również dziś mogą otrzymywać łaskę ludzie naturalnie dobrzy, na podstawie zasług naszego Pana Jezusa Chrystusa, dla ich szczęścia i zbawienia. Jeśli poganie potrafili być dobrymi, jakże bardzo powinni się ćwiczyć w gorliwym wypełnianiu przykazań Chrześcijańskich, którym Chrystus dał całego siebie? Kto więcej otrzymał, od tego więcej się wymaga.

Ks. ALEKSANDER BIELEC



Co to znaczy „reagować na coś”

Prędkość rozchodzenia się impulsów nerwowych w ustroju ludzkim jest wielkością wymiarną. Układ nerwowy każdego człowieka ma właściwe sobie tempo reagowania. Istnieją dość duże różnice i nieraz zdarzyło się każdemu z nas być świadkiem lub uczestnikiem komplikacji wynikających ze współżycia ludzi, z których jeden ma reakcje żywe i szybkie, a drugi powolne jak żółw. Dlatego mówi się o wolniejszym lub szybszym refleksie.

Wyjaśnijmy sobie przede wszystkim, co to znaczy „reagować na coś”. Kiedy człowiek siedzący za kierownicą naciska „na gaz”, w potocznym języku mówimy, że motor „reaguje”, przyspieszając obroty kół. Jeśli w tłoku nadepnemy komuś na nogę — ofiara nasza także natychmiast reaguje — cofa gwałtownie nogę, wydaje okrzyk, nieraz nam nawymyśla — ale to już inna sprawa.

Czas, jaki dzieli podniety od refleksu, jest bardzo krótki, ale właśnie w tym krótkim czasie w organizmie człowieka zachodzi szereg procesów. Pierwsza faza — to odbiór podniety przez nasze zmysły. Bodziec może być natury wzrokowej, słuchowej, dotykowej, smakowej, czy węchowej. Odpowiedni zmysł natychmiast zawiadania poprzez układ nerwowy właściwy ośrodek w mózgu. Jest to druga faza. Gdy podnieta jest wystarczająco silna — wywołuje szereg reakcji łańcuchowych. Informacja przekazana do mózgu zostaje rozszyfrowana i wykorzystana. Jest to trzecia faza. Dużą rolę odgrywa tu pamięć, która szuka właściwej odpowiedzi, czyli właściwego rozwiązania. Skoro odpowiedź zostanie znaleziona — odpowiednie elementy układu nerwowego przekazują ją do mięśni, lub gruczołów. Organizm reaguje. Cały ten proces, od podniety do reakcji, odbywa się w dającym się obliczyć okresie czasu.

Szczególną rolę odgrywa zmysł wzroku, który odbiera wrażenia z o wiele większej odległości niż inne narządy naszych zmysłów.

Począwszy od momentu, w którym meldunek przekazany przez światło dociera do naszego oka, następuje okres „czasu trwonionego”. Oko nasze nie jest komórką fotoelektryczną wpatrującą się w jeden punkt. Porusza się ono niemal nieustannie, a każdy ruch gałki ocznej pochłania sekundy czy ułamki sekund. Ten czas „trwoniony” należy włączyć do rachunku.

Ruch gałek ocznych możemy podzielić na trzy zasadnicze grupy: — kiedy śledzimy kogoś czy coś wzrokiem, oczy nasze utkwione są w obserwowany obiekt i poruszają się wraz z jego ruchem.

— kiedy czatujemy na coś czy nasze obracają się to w jedną to w drugą stronę, by w odpowiednim momencie uchwycić wzrokiem interesujący nas obiekt.

— często zaś wzrok nasz przeskakuje nagle z jednego przedmiotu na drugi.

Przy dużych szybkościach maszyny czy pojazdu czas trwania każdego z poszczególnych ruchów gałek ocznych ma kapitalne znaczenie. Jak to wygląda u kierowcy? Oczy człowieka prowadzącego samochód wykonują ruch wzdłuż boków trójkąta, którego wierzchołkami są trzy punkty: droga przed samochodem szybkościomierz i tablica sygnalizacyjna. I chociaż czas w ciągu którego kierowca gubi z oczu szosę wynosi zaledwie 3/10 sekundy samochód jadący z szybkością 100 km/godz. przejedzie w tym czasie, w tym ułamku sekundy, około 10 metrów. Dziesięć metrów drogi nim kierowca uświadomi sobie to co widzi i nim zdąży zareagować...

Szybkość z jaką przekazywane są w organizmie człowieka impulsy nerwowe, ongiś uważana był za szczyt prędkości. Mówiło się „szybki jak myśl”. Dzisiejszy postęp techniki zdewałowował to pojęcie. W naszych czasach szybkość przekazywania impulsu nerwowego, która wynosi przeciętnie 70 metrów na sekundę, czyli 250 kilometrów na godzinę, wydaje się nader umiarkowana.

A.M.



Rozmowy z Czytelnikami

W korespondencji nadchodzącej do naszej Redakcji, najczęściej zwracają się Czytelnicy z trudnościami natury religijnej. Zdarza się jednak niekiedy, że w listach poruszane są także problemy z innych dziedzin (wybitnie specjalistyczne), na które — w miarę możliwości — również staramy się odpowiadać. W jednym z nich p. Janusz K. z Dzierżoniowa pisze co następuje:

„Posiadam dwa pamiątkowe medale (miedziane) o treści religijnej, o których prawie nic nie wiem. W załączeniu przesyłam ołówkowe odbitki tych medali, by zaprezentować przynajmniej ich kształt i wielkość. Zwracam się w tej sprawie do kilku numizmatyków (zapewne kolekcjonerów, a więc chyba i specjalistów z zakresu nauki o monetach i medalach, jako zabytkach historycznych — przyp. Duszpasterza). Niestety, nie mogli mi udzielić informacji na ich temat. Gdy jednak w tygodniku „Rodzina” (nr 8 z dnia 20 lutego br.) przeczytałem artykuł ks. Jana Kuczka o św. Cyrylu, postanowiłem w tej sprawie zwrócić się do Waszej Redakcji.

Otóż pierwszy ze wspomnianych medali (mający kształt owalny), przedstawia na awersie postacie świętych: Cyryla i Metodego. Natomiast na rewersie znajduje się napis: „Na pamiątkę zaprowadzenia chrześcijaństwa w roku 863” — niżej zaś umieszczona jest data 1863.

Natomiast medal drugi (okrągły) wybity został — jak to wynika z umieszczonego na nim napisu — z okazji 500-lecia złożenia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze. Na jego awersie widnieje grupa osób (chyba wszyscy to duchowni, a w części pierwszoplanowej na pewno) oraz napis: „Na pamiątkę 500-ej rocznicy * 1388 * złożenia obrazu M. Boskiej Częstoch. na Jasne Górze”. Na rewersie natomiast widoczna jest sylwetka klasztoru jasnogórskiego, wokół którego umieszczony jest następujący tekst: „300 lat w Jeruzalem 500 w Carogrodzie, 500 na Belzkim zamku, 500 na Jasnej Górze w Częstochowie”. Niestety nie wiadomo mi, o czym wspomina przytoczony napis.

Interesuje mnie również wszystko, co dotyczy wspomnianych

wyżej medali: a więc okazja z jakiej zostały wybite, wielkość emisji oraz ich wartość historyczna i materialna. A ponieważ nie zawsze udaje mi się nabyć w kiosku Wasze czasopismo, proszę o odpowiedź listowną na podany adres.

Korzystając z okazji, życzę Redakcji zwiększenia nakładu Waszego, tak poczytnego tygodnika. Niech rozświetla on drogi życiowe największej liczby naszych rodaków, oddalonych od Boga”.

Drogi Panie Januszu! Serdecznie dziękuję za przekazane namzemu Wydawnictwu życzenia. Równocześnie z prawdziwą satysfakcją komunikuję (o czym Czytelnicy zostali już powiadomieni), że od 24 lipca br. „Rodzina” ukazuje się w nakładzie zwiększonym do 25.000 egzemplarzy. Nie powinno więc być kłopotów z jej nabyciem.

Odnosnie osoby św. Cyryla zaszło pewne nieporozumienie. Bowiem ks. Kuczek przedstawił w swoim artykule pisarza kościelnego, św. Cyryla — patriarchę Aleksandrii, który żył i działał w IV wieku. Natomiast święci Cyryl i Metody (którym poświęcony jest pierwszy medal) byli apostołami Słowian, zaś ich działalność przypada na IX w.

Rok 863 ma tutaj historyczne znaczenie. Wówczas bowiem „do Bizancjum przybyło poselstwo księcia morawskiego Roścysława z prośbą o misjonarzy znających język słowiański, by przeciwdziałać wpływom łacińsko-niemieckim. Do tej misji wyznaczono Cyryla i Metodego. W tym celu przygotowali (oni) wspólnie przekład Ewangelii, Dziejów Apostolskich, Psałterza i niektórych tekstów liturgicznych.” (Encyklopedia katolicka, tom III, kol. 708). Są oni również twórcami najstarszego pisma słowiańskiego, zwanego głągolicą, oraz wprowadzili język słowiański do liturgii. Szerzyli chrześcijaństwo obrządku słowiańskiego na Morawach i Bałkanach. Dotarło ono również na ziemię polskie, na około 100 lat przed wprowadzeniem przez Mieszka I chrześcijaństwa obrządku łacińskiego. Dowodzą tego wykopaliska na Wawelu oraz w Wiślicy. Rok 863 uważany jest więc za początek chrześcijaństwa obrządku słowiańskiego. Medal zaś wybity został dla upamiętnienia jubileuszu tysiąclecia tego wydarzenia.

Medal drugi wydany został z okazji 500-lecia przechowywania obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze. Jego awers (strona przednia), ukazuje podobiznę malowidła anonimowego artysty z XVII wieku i przedstawia przekazanie obrazu Bogarodzicy paulinom, przez księcia Władysława Opolczyka. Znajduje się ono w Sali Rycerskiej na Jasnej Górze. Po-

daje się, iż miało to miejsce w roku 1382. Nie jest to jednak historycznie pewne, gdyż w akcie fundacyjnym — wystawionym przez Władysława Opolczyka, który sprowadził OO. Paulinów do Częstochowy — o obrazie nie ma żadnej wzmianki. Na rewersie (odwrotnej stronie) natomiast, widnieje sylwetka świątyni jasnogórskiej. Napis nawiązuje do legendarnej historii obrazu.

Według legendy bowiem obraz ten, namalowany na cyprysowej desce przez Łukasza Ewangelistę — przez 300 lat przechowywany był w Jerozolimie. Następnie św. Helena, matka cesarza Konstantyna Wielkiego, miała go przewieźć do Konstantynopola, gdzie pozostał 500 lat. Przez następne 500 lat znajdował się w Bełzie (obecnie Ukrainka SRR), skąd

Władysław Opolczyk w roku 1382 przewiózł go do Częstochowy na Jasną Górę.

Jednak w oparciu o przesłane opisy oraz ołówkowe odbitki medali nie udało mi się uzyskać interesujących Pana wiadomości. Radzę jednak udać się (zabierając z sobą oba medale) do przedsiębiorstwa „Desa” — Dzieła Sztuki i Antyki we Wrocławiu, Plac Kościuszki 16 lub też do Salonu Sztuki „Desy” w Krakowie, ul. Jana 16. Tam fachowcy z zakresu numizmatyki ocenią ich wartość historyczną i materialną. Jednak tylko w wypadku przeznaczenia ich do sprzedaży.

Łączę dla Pana i wszystkich Czytelników pozdrowienia w Panu naszym, Jezusie Chrystusie.

DUSZPASTERZ

POZIOMO: 1) helikopter, 5) śpiew słowika, 10) telewizor kontrolny, 11) mięsopust, 12) uroczyste nakrycie głowy biskupa, 13) ocechowany ciężarek, 15) krzyż z wyobrażeniem Chrystusa, 16) wawrzyn, 19) dla ochłody, 21) uczestnik wyprawy po „złote runo”, 25) niewolnik środków odurzających, 26) tytułowy bohater tragedii Szekspira, 28) środek lokomocji miejskiej, 29) jednostka administracji kościelnej, 30) kręci głową, 31) oświetla ulicę.

PIONOWO: 1) upiór, strzyga, 2) kuzyn jelenia, 3) kiepski gracz, 4) pogoda, 6) dowódca flisaków, 7) długa modlitwa, 8) pracownik kolejowy, 9) ryba słodkowodna, 14) potwierdzenie, aprobaty, 17) ciało niebieskie, 18) msza odprawiana w noc Bożego Narodzenia, 20) ptak łowny z rządu chruścieli, 22) umożliwiała rozmowę na odległość, 23) ewolucja, 24) drewniany strop, 27) stolica Samoa Zach.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 45”. Do rozlosowania:

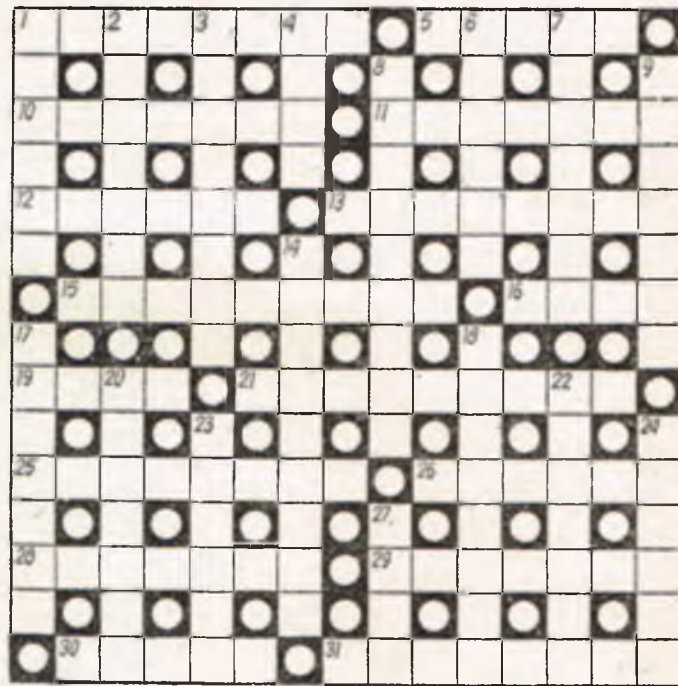
nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 41

POZIOMO: konflikt, zakon, bigamia, obelisk, artyzm, rewolwer, ewangelia, Kain, odma, Białogard, Warszawa, Serbia, narybek, adwokat, zapas, tatelnik. **PIONOWO:** kubrak, negatyw, limuzyna, kram, asesor, owiewka, Boże Ciało, okaryna, Beniowski, konwent, egzekwie, murarka, Rubikon, szabla, Bartek, mata.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 39 nagrody wylosowali: Katarzyna Poluchowicz z Torunia i Janusz Adrjanowicz z Jeleniej Góry. Nagrody przesyłamy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 45



rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych - indywidualnych prenumeratów: - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 3. Prenumeratę za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11.

Wydawca: Spoleczne Towarzystwo Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenie”. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa. Telefony redakcji: 27-89-42 i 27-03-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy: Cena prenumeraty: kwartalnie 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla tych miast, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych - indywidualnych prenumeratów: - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 3. Prenumeratę za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę przysyła się do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr. 1153-201045-139-11.

Walery Przyborowski



NAMIOTY WEZYRA

Z wielką niechęcią Adameczyk odstąpił trochę chleba i słoniny Maćkowi, który posiliwszy się nieco, wstał, obmył się, poprawił na sobie ubranie, szablę przypasał i wyszedł. Skierował się ku namiotowi królewskiemu, gdzie miał być obiad dla Niemców w tym naturalnym przypuszczeniu, że skoro tam tyłu zasiądzie do jada, toć nie podobna, żeby i on się nie pożywił, zwłaszcza, że wiedział, iż nikogo zwykle w czasie takich królewskich uczt nie odpychano.

Ale nie wiedział, jaka go nowa miała spotkać przygoda.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jako Maciek złapał Wołoszyna i zjadł z nim dobrą wieszczkę

Namiot królewski był szeroko rozwarty, a za stołem, mnóstwem świec jarzących oświetlonym, bo już mrok padał, siedział na środku król, w pysznym cygrynowym kontuszu z ciężkiej materii, a koło niego wszyscy książęta niemieccy, hetmani, senatorowie, ogółem z pięćdziesiąt osób. Koło stołu roili się mnóstwo służby i nie służby, a koło namiotu różnego żołnierstwa moc wielka, bo nikogo nie odpędzano. Gwar był wielki przy stole i Maciek popatrzał na liczne półmiski, których woń szła aż do niego i tylko ślinkę połykał, i przemyślał, jakim sposobem dostać się do któregoś z tych półmisków, których większość prawie nietknięta ze stołu schodziła.

— Nijak tego nie dokonam bez panicza — myślał sobie i mruczał: — O, laboga, laboga, co tu jedzenia, a człowiekowi to tak mamrocze po kiszkach, nikięć ów murza tatarski, com go wczoraj capnął.

Począł więc szukać panicza i kiedy się ogląda na wszystkie strony, patrzy, a niedaleko niego stoi, tyłem doń, a twarzą do stołu królewskiego, jakiś człowiek w białej opończy i dziwnym kołpaku na głowie.

— Tfu, na psa urok — mruknął Maciek — to akuratnie jak Wołoch. Ano zajrzę mu w ślepie.

Zaszedł niespodziewanie i stanął twarz w twarz z owym człowiekiem. Maciek myślał, że skamienieje. Tak, to był Wołoch, ten sam, co w nocy w ruinach zamczku knyszyńskiego ich przestraszył, ten sam, co w Borkach groził im wbiciem na pal, co na promie pod Karczewiem się zjawił, i którego Maciek tak pilnie szukał w zamku rawskim. Stał teraz i czarnymi, palącymi oczami wpatrywał się w króla jak w tęczę i tak był zajęty, że wcale nie spostrzegł Maćka.

Tedy Maciek, dygocąc z radości, skoczył nagle i chwytając Wołocha za kołnierz, huknął:

— A tuś mi, rakarzu! Pogański synu! Szpiegu, poznałem cię! Szpieg jesteś!

Wołoch zatrząsł się cały i ręce, które wschodnim obyczajem trzymał założone na piersiach, opadły mu jak dwie kłody i głosem drażącym zawołał:

— Tak jest, prawda, mości dobrodzieju!

Potem, spojrzawszy na Maćka, dodał:

— A, to acpan!

— Tak, ja hycłu jakiś. Szukam cię od dawna i mam cię teraz. O, teraz mi nie uciekniesz, jak w zamku w Rawie. Mam cię, szpiegu, pójdiesz na pal, rakarzu, poganinie przeklęty!

I tak silnie swą potężną dłońią ścisnął kołnierz Wołocha, że ten szczerwienił cały i rzekł:

— Uduśisz mnie, acpan.

A właśnie też i inni poczęli się zbiegać i pytać, co to się stało? Tedy Maciek rzekł:

— To szpieg turecki, znam go. Złapałem go, jak przeglądał tu wszystko.

— Trzeba go pod wartę oddać — mówili inni.

Prowadzono więc Maćka i Wołocha do oficera od gwardii, który wartę trzymał owego dnia. Oficer zaraz wpadł na Wołocha:

— Szpieg jesteś?!

— Tak jest, mości dobrodzieju.

— Jakes się tu dostał?

— A przyjechałem, konia ostawiłem między chorągwiami wołoskimi i przyszedłem tutaj.

— Po coś tu przyszedł? Kto cię przysłał?

Ale Wołoch już nic gadać nie chciał, mówiąc, że wszystko powie, ale tylko królowi samemu. Czekano więc, aż się obiad skończy, by dać znać o tym królowi, a tymczasem Maciek począł:

— O, laboga, laboga, poganinie jakiś, miałem ja przez ciebie!

— Powiedz, byłes w Rawie?

— A byłem.

— I gdzieś się ty, rakarzu, podział? Cygan jesteś czy czarownik, żeś się jak w ziemię zapadł. Przecież z panami dragonami cały zamek przetrząsałem, że igłę bym znalazł, a ciebie, psia wiaro, odszukać nie mogłem.

Wołoch się uśmiechnął, białe zęby wyszczerzył i rzekł:

— Znam tam piwnicę jedną i w niej się schowałem. Chodziliście koło mnie i żaden z was na myśl nie wpadł, że ja tam siedzę.

Smiałem się też z was, co się zmieści.

— No, teraz będziesz się śmiał, ale na polu.

— Jak Bóg da.

W tejże chwili przybiegł hajduk królewski i krzyczał:

— Gdzie ów szpieg?! Dawajcie go do króla jegomości, jeno duchem!

Wołoch zzieleniał i trzęsąc się z wielkiego strachu, szedł pilnowany przez Maćka, wartę i mnóstwo ciekawych.

Gdy go przyprowadzono przed króla, który siedział na krześle między panami, król popatrzył na niego i spytał ostro:

— A to ty, hultaju, od tureckiego wojska, szpieg?

Wołoch, dygocąc cały, odrzekł:

— Prawda, ja mości królu.

— Kto cię tu przysłał?

— Sam Wielki Wezyr. Kara Mustafa.

Król, widząc człowieka strasznie przerażonego, po dobroci swego serca, zaraz zmieknął i rzekł łagodnie.

— Nie bój się, mówię ci to królewskim słowem, że ci i włos z głowy nie spadnie ani cię śmierć, ani żadna kara nie spotka. Głodny jesteś?

— Od rana nic w ustach nie miałem.

— Zaprowadźcie go do pana Gordona i warty mu nie przydawać. Niech go nakarmią i wina dadzą. Nie między bisurmany trafił, ale między chrześcijany. Tak rozumiem, że i sam chrześcijaninem jesteś?

— Chrześcijanin.

Zaprowadzić go do pana koniuszego, Gordona.

Maciek przypomniał sobie, że i on jest strasznie głodny, przy tym tłumaczył sobie, że opuszczać Wołoszyna nie może, poszedł więc z nim do pana Gordona, gdzie przyniesiono zaraz jeden i drugi półmisek z pieczystym, wina dano. Wołoch zabrał się do jedzenia, a z nim Maciek.

— A ty co za jeden? — pyta go pan Gordon.

— Jam jest Maciek Dyrdała, kmieć z Rzeki, taki dobry jak szlachcic, bom Piast, jeno krzyńę gorszy, a też biedniejszy, ale zawždy lepszy od lyka.

— Co ten głupiec gada? Któż ty?

— Jam jest pacholek pana Piotra Rzeckiego, i ten, co tego szpiega złapał, i jeść mi się chce okrutnie.

— A toś ty go schwytał?

— A ja.

— No, to ci się należy nagroda. Jeślis głodny, to jedz.

Maćkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, i tak się zabrali do półmisków z Wołoszynem, że je w mig sprzątnęli. Popili sobie wina, przy czym Maciek gadał:

— No, napijewa się, żeby ci ładniej przyszło na palu skończyć.

— Jak Bóg da — odrzekł Wołoch, i teraz był wesół, i przyszedł zupełnie do siebie.

Ale znów przybiegł hajduk królewski i kazał szpiega wprowadzić do króla. Maciek także poszedł. Tedy król rzecze do Wołocha:

— Jakem ci powiedział pierwej, że nie bój się, ani ci włos z głowy nie spadnie, i teraz też ci powiadam, i co się będę pytał bezpiecznie odpowiadaj. Najprzód pytam się ciebie, ktoś ty jest?

— Wołoszyn, służyłem na dworze pana Gnińskiego, starosty knyszyńskiego. Musi tu być przysły mój pan, bo się wybierał na tę wojnę.

Nie ma go tu, bo się zaciągnął do wojska litewskiego.

— Moje to nieszczęście — zawołał Wołoch — Dałby mi świadectwo, jakem mu wiernie i poczciwie służył kilka lat, i ja tu bardziej dla niego przyjechałem, mniemając, że pana mego zastanę, a nazad się nie wrócę, i tak proszę miłosierdzia waszej królewskiej mości, abym się mógł mieścić w polskim wojsku.

— O, laboga! laboga! — zawołał Maciek — to ci rakarz łże.

Ale inni poczęli go trącać, mówiąc:

— Milcz, jakże to przy królu śmiesz gadać nie pytany.

A tymczasem król mówi do Wołocha:

— Trzeba, żebyś się wrócił z relacją; dam ci konwój, bo i nieprzyjacielowi należy dotrzymać wiary.

— Jak wola waszej królewskiej mości — rzekł szpieg smutno.

Król pytał dalej:

— Jakim cię tu sposobem wyprawiono? Czyli ty na dworze wezyrskim zostajesz, czyli się jakim sposobem bawisz?

— Ja pod chorągwią karałaszów służę, to jest takich, co za pieniądze są wynajęci do wojska.

— Wiem, wiem — odrzekł król — mów dalej.

— Wyprawiony tu jestem takim sposobem: chan tatarski oznajmił pierwszy wezyrowi o wojsku waszej królewskiej mości i o osobie jego, że się pod Tulnem przeprawiasz. Nie chciał temu wierzyć wezyr, ale posłał po hospodara naszego wołoskiego, nazwiskiem Duka, któremu przykazał surowo, ażeby się starał o takiego człowieka, który by po polsku dobrze umiał i w Polsce służywał, mówiąc: — Musi być w twej ojczyźnie takowy człowiek, gdyż ty blisko Polski zostajesz. — My zaś wszyscy jak niewolnicy jesteśmy u Turków z hospodarem naszym, który mnie wynalazszy, stawił przed wezyrem. Wezyr przez tłumacza mnie się pytał, czy umiem dobrze po polsku? Odpowiedziałem, że umiem, bom służył kilka lat u pana polskiego. Wezyr rzekł: — Takiego mi też potrzeba — i mówił dalej: — Bylebyś mi dobrze usłużył, będziesz miał nagrodę dobrą. — I zaraz przynosi podskarbi wezyra 50 dukatów i daje mi w ręce, a sam wezyr mówi: — Żebyś dotarł do samego Tulna, bo się tam ma wojsko polskie przeprawiać i król z nimi, jeżeli to prawda. I pytam się ciebie, czyś ty kiedy widział króla? — Odpowiedziałem: — Widziałem i nieraz. — Wezyr znowu: — Jakim to sposobem być może, bywszy u sługi sługą, a miałeś go widzieć kilka razy? Wieleś w Polsce służył? — Odpowiedziałem, że cztery lata. Wezyr znowu: — Dość by na ciebie było, żebyś przez cztery lata raz widział króla.